



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK V Nr 8 (143)

NIEDZIELA, 25 LUTEGO 1945 R.

CENA 10 LIRÓW

RYSZARD WRAGA

W ŚWIETLE HISTORII

Londyn, w styczniu

Przystąpiłem do napisania niniejszego artykułu w chwili, gdy armia sowiecka przekroczyła granicę polsko-niemiecką i postępuje w dalszym pędzie ku najwlotniejszemu niemieckim ośrodkom, grożąc Rzeszy ostatecznym, być może już śmiertelnym ciosem. Ziemi polskie zostały niemal w całości uwolnione od straszliwego, przeszło pięć lat dręczącego je terroru i bezprzekładnej eksploatacji.

Spróbujmy więc podsumować to, co czujemy, widzimy i rozumiemy. Nie czujemy radości w sercu. Nie wyczuwamy jej nie tylko my — żołnierze na tułaczce, lecz nie czuje jej żaden Polak. Każdy z nas wie, że to nie koniec. Niejedni myśli: — i kto wie, czy nie słusznie — że może to dopiero początek.

Nie jesteśmy w wojnie z Rosją. Od zawarcia traktatu ryzykownego nie byliśmy ani przez chwilę. Nie wypowiedzieliśmy tej wojny nawet wtedy, gdy od dnia 17 września 1939 r. nie tylko germańskie wojska niszczyły nasz dorobek, mordowały naszych żołnierzy, wywoziły nasze kobiety i dzieci. Oddaliśmy ogromne usługi Rosji natychmiast, gdy tylko Rosję zaatakował wróg, który od tej chwili stał się wrogiem wspólnym. Pakta mi przypieczętowaliśmy my — najbardziej uciążony naród w tej wojnie — że oto zaliczaliśmy Rosję do państw walczących o wolność świata. Nakazaliśmy milczenie sobie samym. Nakazaliśmy spokój najbardziej spośród nas odręcznym: dzieciom pomordowanych, żonom poległych i wymorzonych głodem i chłodem, matkom synów wyniszczonych w kopalniach, mężom i ojcom szablonych i wytraconych. Powiedzieliśmy sobie, że jest to nasza wewnętrzna, własna tragedia, która jest niczym wobec tego wszechludzkiego zmagania o jutro, w którym wzięta z woli historii udział również i Rosja. Więc zamiast prawdy mówiliśmy i pisaliśmy kłamstwa, kłamstwa szlachetne, mimo, że płacono za nie w garda. Zamiast się buntować i kłaść, szliśmy dalej szlakami świata, podniecając w sobie nienawiść w sercu tylko dla jednego wroga.

Naród żołnierski, nie mogliśmy nie docenić wartości żołnierzy Leningradu, Stalingradu, Moskwy, Kurska, Orła... Nie mogliśmy jako żołnierze nie uznać obryzmiego wysiłku kobiet, dzieci i starców sowieckich, wysiłku tak istotnego w dziele ostatecznego zwycięstwa. Nie masz też nikogo spośród nas, któryby nie pragnął, by i chłop i robotnik rosyjski po tym trudzie niezmierzniemu donalili lepszej zapłaty, niż to życie, jakiego napatrzyliśmy się do syta, będąc ich współtowarzyszami na katorżach, łagrach i w kółnozach.

Lecz nie masz w nas radości teraz, gdy Katowice, Poznań, Łódź, Kraków, i Warszawa są „wolne”, gdy po gruzach Placu Marszałka, po cementarzu na Rossie, po dziedzińcu Wawelu, po Ryнку poznańskim maszeruje nie tamten znicznikowy, hańbiący to miejsce już samą swą obecnością żołdak pruski, lecz gdy odchodzą po nich ten zwycięski żołnierz sowiecki.

Dlaczego tak jest? Czego boimy się w przyszłości? Czy boimy się komunizmu, czy boimy się „reform”, czy może jesteśmy naprawdę wszyscy, całym narodem, „faszystami”, „reakcjonistami”, „uzurpatorami”? Nie! To nie to! Lęk nasz nie wynika

z poczucia naszych win, ze świadomości własnej niepełnowartościowości. Wynika on z doskonałego, zdrowego i jedynie słusznego wyczuwania historycznego układu stosunków niemiecko-sowieckich, w którym Polska odgrywa jednaką rolę obu stron rolę przedmiotu, a nie podmiotu polityki.

Wojna sowiecko-niemiecka 1941 — 1945, będąc składową częścią ogólno-swiatowego układu strategiczno-operacyjnego, stała się zainknieciem w sobie zjawiskiem poli-

tycznym. Hitler w swym pochodzie na Rosję twierdził, że dąży do zniszczenia komunizmu i bazy rewolucji światowej. Stalin twierdził, że ma na celu rozbicie faszyzmu grożącego światu. Jedno i drugie jest nieprawdą. Cele wojenne obu stron są zupełnie inne. Nie są wcale społeczne. Nie są wcale uniwersalne. Są nawskroś polityczne, sprzeczające tę wojnę do konfliktu bilateralnego, dwustronnego.

Od wieków Niemcy i Rosja rozwijały

się jako wzajemne antytezy w tragicznym splocie przyjaźni i nienawiści. Idei niemieckie stawały się rosyjskimi. Rosyjska rzeczywistość i możliwości zapładniały duch niemiecki. Mało rzeczy z ducha i myśli w Rosji jest oryginalnych, rosyjskich. Oryginalna jest tylko pieprzna przyprawa rosyjska, która zmieniała na modę moskiewską smak i gust potraw europejskich. A z całej Europy dla swych wzorów ideowych i myślowych Rosja wybierała zawsze Niemcy. Nie darmo Stalin w 1931 r. — a więc już w okresie rozkwitu hitleryzmu — w rozmowie z Emilem Ludwim twierdził, że największe sympatie naród sowiecki ma do Niemiec i do Niemców. Rosja pasjonowała się niemieckimi myślaniami. Pasjonowała się niemieckimi teoriami państwa i państwowości, niemiecką reformacją, niemiecką filozofią, niemieckim romantyzmem, niemieckim socjalizmem, niemieckim marksizmem, niemiecką historiozofią, niemiecką muzyką i niemiecką techniką. Kant, Hegel i Marks mieli największą ilość uczniów, naśladowców i entuzjastów w Rosji. Niemcy zaś pasjonowali się przestrzenią rosyjską, masami rosyjskimi, surowcami rosyjskimi i zapatrzeni w nie, tworzyli swe idee na miarę nie dającej się objąć i zmierzyć Rosji. Fryderyk Wielki i Bismarck, Clausewitz i Schliffen tworzą doktrynę politycznego imperializmu germańskiego i podstawy germańskiej strategii, posługując się rosyjskimi miarami. Piotr Wielki i Katarzyna II-ga, słowianofile i „zapadnicy” na niemieckich wzorach budują koncepcje, doktryny i prawa. Ostateczna synteza germańska — Hitler i hitlerizm — z tego tytułu noszą wszelkie cechy abstrakcji, która musi zginąć. Ostateczna synteza Rosji — Stalin i stalinizm — jak dotychczas wykazały całą moc i potęgę realizmu, dopasowania właściwych idei do właściwego terenu.

Imperializm germański podsycał imperializm rosyjski, imperializm rosyjski roznamietniał imperializm germański. Niemcy były nauczycielem, Rosja pojętym uczniem, który zmuszał swego mistrza do coraz większego wysiłku twórczego w dziedzinie koncepcji. Wszystko, co niemieckie, Rosja przetrwała i wszystko to stawało się najbliższe Rosjaninowi, stawało się nawskroś rosyjskie. To Niemcy wynaleźli teorię gospodarczą dla słowianofilów, najbardziej reakcyjnych Rosjan. To Niemcy w postaci marksizmu uzbili w teorię bezdoktrynalne rosyjskie anarchię, rewolucyjność i mistycyzm. Od niemieckiego „Ueberrmenscha” do rosyjskiego wszechciembeczeństwa krok jeden, a jakąż przepaść jeżeli chodzi o środki i możliwości.

Dwie sprężone ze sobą siły łączyły pociąg tragiczny, dzieliła nienawiść niebywała. Rozwijały się one w ustawicznym dźwięniu do apokaliptycznej symbiozy ducha i materii: Niemcy traktują Rosję jako swój „Lebensraum”, Rosja uważała Niemcy jako zapórę przed światem innym — przed Europą. W tym dążeniu nie było miejsca na żadne bariery, na żadne butofry. Wszystko, co stało na przeszkodzie do złączenia się tych obu sił dynamicznych, było jednako niszczone, jednako niwelowane z powierzchni ziemi. Pruski i Szwedzi, Inflanty i Litwa, Finlandia i Białoruś, Ukraina i Polska, Czechy i Węgry, Turcja i Bałkany, stały się odwiecznymi przedmiotami

*Altitudo et Honorabile Viri
Wlad. Slav. Anders
Widmoneum in Italia militavit
Superfili, Generali*

Pius PP. XII

*Dilecte fili, Altissimo et Honorabilissimo,
archiduce et Episcopo in Breviario...*

*Quod cum sciret, quod deus in hac parte...
...et in hac parte...*

...et in hac parte...

...et in hac parte...

...et in hac parte...

Pius PP. XII

Odręczny list Ojca św. Piusa XII do Dowódcy 2. Korpusu gen. W. Andersa

*Ukochanemu synowi, szlachetnemu i czcigodnemu mężowi
WŁADYSŁAWOWI ANDERSOWI
Naczelnemu Dowódcy Wojsk Polskich we Włoszech*

PAPIEŻ PIUS XII

Ukochany Synu, Szlachetny i Czcigodny Mężu, Pozdrowieniu i Apostolskie Błogosławieństwo. Podobnie jak okazaliśmy Tobie i tym wszystkim, którzy wraz z Tobą niedawno zostali przyjęci, Nasze serce i złożyliśmy głębokie podziękowanie z powodu ofiarowania daru w postaci ryngrafu, wykonanego z wyjątkowym artystycznym, tak obecnie z prawdziwą radością pragniemy powtórnie w tym liście dać wyraz Naszych nieustannych starań o Polski Naród.

Na ryngrafie tym jakoby jednym rzutem oka obejmujemy pod pewnym względem całą Waszą Ojczyznę w tej chwili doszczętnie spustoszoną straszliwą wojną, jej sławne czyny historii i wyjątkowe dzieje, jej wiarę niezachwianą, jej nigdy niewygasną miłość względem Kościoła katolickiego i Młodszy Chrystusowego. Atoli ceć żoń przećwieka, co tak Nam, jak też i wam każę słusznie żywić nadzieję, na srebrnym bowiem Orle, który lśni w środku tego cyzelerkiego dzieła i który zwykle umieszczany jest w herbach miast waszych i na sztandarach oddziałów wojskowych, zakwita Boga Rodzica Dziewica, Krowola Polski, łaskawa wspomóżycielka, która, zda się, obejmując pod swą macierzyńską opiekę wasz Naród i ziemię jego

przodków. Jakkolwiek z każdym dniem coraz większe narastają rumowiska, jakkolwiek sprawy przepojone są wątpliwościami i troską, nie należy z tego powodu — jak dobrze wiesz — upadać na duchu; albowiem ponad przejściowymi i zmiennymi planami i usiłowaniami rozumu ludzkiego — jak to i historia Polski wykazuje — panuje Przewidziany i Opatrznościowy Bóg, u którego wyblagać należy, by wszystko to, co nieszczęsne błędy, krzywdy, zbrodnie i ogólną niosącą zagładę nienawiść, zrodziło — w prawdzie, sprawiedliwości i miłości, zostają naprawione, odnowione i powróciło do słusznego porządku.

O to My w szczególniejszy sposób dla Waszej i Naszej Polski błagamy Najświętszą Dziewicę, która w Ostrobramskim i Częstochowskim Sanktuarium z szczególniejszym pietyzmem czcicie, podczas gdy i Tobie, Ukochany Synu, Szlachetny i Czcigodny Mężu i całemu Najdroższemu Nam Narodowi; Błogosławieństwo udzielamy łaskawie w Panu Bógomocianstwa Apostolskiego, jako rękojmyś darów niebieskich i dowód Naszej żyćliwości.

Dan w Rzymie, u św. Piotra, dnia 27 miesiąca stycznia, roku 1945, Pontyfikatu Naszego szóstego. **Papież Pius XII**

(Dokończenie art. na str. 12)

ARP.

PROSTE ZAPYTANIA

W niektórych kołach zagranicznych panuje przekonanie, że do uchwał konferencji krymskiej należy odnosić się bezkrytycznie. Wszystkie narody europejskie, z Polakami i Francuzami na czele, winny zdaniem tych kół, paść na kolana i wielbić postanowienia, które rzekomo mają zapewnić im wolność, niepodległość, demokrację, siłę i szczęście. Jeżeli tego nie czynią to dlatego, że nie doceniają dobrodziejstw, które z uchwał krymskich wypływają. Nie doceniają i nie chcą ich zrozumieć, albowiem do postanowień przyjętych w Jałcie odnoszą się uczuciowo, a unikają chłodnej i spokojnej analizy.

Zdobędziemy się zatem na taką właśnie analizę, ale w świetle twardej rzeczywistości, a nie teorii i frazesów, które dziś stracili wszelką wartość. Na wstępie uchwał dotyczących Polski znajdujemy takie zdanie:

„Potwierdziłmy nasze wspólne pragnienie, by Polska była silna, wolna, niepodległa i demokratyczna”.

Aczkolwiek nie uważamy stwierdzenia tego za jakieś szczególne osiągnięcie, gdyż odbudowanie państwa polskiego, pierwszego alianta w koalicji antyniemieckiej, winno rozumieć się samo przez się, jako wynik zwycięskiej wojny nad Rzeszą niemiecką, to przecież gotowi jesteśmy odnieść się pozytywnie do tego stwierdzenia. Zobaczymy jednak, jak wygląda jego wykonanie.

Uchwała mówi:

„W Polsce powstała nowa sytuacja w wyniku jej całkowitego wyzwolenia przez armię czerwoną. Wymaga to utworzenia polskiego rządu tymczasowego, który mógłby się oprzeć na szerszej podstawie, niż to było możliwe przed ostatnim wyzwoleniem Polski zachodniej”.

Jest to punkt wyjścia dla dalszych postanowień. Zdaniem wielkiej trójki, fakt okupowania Polski przez armię czerwoną stwarza nową sytuację, która powinna zmienić stan prawny państwa polskiego, usunąć zobowiązania poszczególnych sojuszników w stosunku do legalnego rządu polskiego, zlikwidować konstytucyjną polską i zmusić do przyjęcia nowych postanowień w zakresie wykonywania suwerenności w państwie polskim. Istnicjącej stan prawny i polityczny Rzeczypospolitej Polskiej musi ulec — na skutek tych faktów — radykalnej zmianie bez zapoznania o zdanie Polaków oraz rządu polskiego. A wszystko dlatego, że wojska sowieckie będące w wojnie zdawałyby się z Niemcami, a nie z Polską weszły w toku działań na ziemię Rzeczypospolitej, państwa walczącego również z Niemcami. Trudno o bardziej brutalny przykład uciecia się przed siłą i przed faktami dokonanymi, jak i bezwzględnie podporządkowania prawa — przemocy. Zapytujemy, gdzie tu jest demokracja, gdzie poszanowanie prawa międzynarodowego, gdzie zastosowanie ogłoszonego dotychczas hasła narodów sprzymierzonych, że w „nowym świecie”, który powstanie po tej wojnie, prawo postawione będzie nad siłą?

Następny ustęp uchwały głosi:

„Rząd tymczasowy, który obecnie działa w Polsce, powinien przede wszystkim zreorganizować na szerszej demokratycznej podstawie, a w skład jego powinni wejść demokratycznie przywódcy polscy z kraju i z pośród Polaków z za granicy. Ten nowy rząd będzie nazywany polskim tymczasowym rządem jedności narodowej”.

Biurowo poszukiwań

W Delegaturze P.C.K. przy Dowodztwie czynne jest „Biurowo poszukiwań” zaginionych jeńców, przesyłki listów etc.

Godziny urzędowania od 9-3 g. Coraz Umberto 303 II p.

Z uchwały tej wynika, że podstawą rzekomej „reorganizacji” władz polskich ma stać się komunistyczny komitet lubelski, który następnie przezwą się „rządem tymczasowym” i uznany został za takiego wyjątkowo przez Rosję Sowiecką a nie przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, które dotychczas uznają legalny rząd polski. Uchwała konferencji trzech pomija wszakże ten stan rzeczy, nie wspomina ani słowem o istnieniu legalnego rządu polskiego, który od pięciu i pół lat kieruje walką naszego narodu, a nagłe uznaje za czolowego organ rządowy polski jakąś grupę uzurpatorów wyłonioną z ciemności w ostatniej fazie wojny.

Należałoby się zapytać, co wielka trójka miała do zarzucenia rządowi polskiemu, że zdecydowała się na zlekceważenie jego istnienia. Czy popełnił on jakąś niecelowość w stosunku do sprzymierzonych? Czy istnieją dowody jego zdrady? Czy okazywał on zbyt małą gośpińność w prowadzeniu wojny na wszystkich odciśnięciach, walcząc na wszystkich frontach i wszystkimi rodzajami broni? Zbyt mało może składał ofiary na rzecz wojny? Bo tylko zdradą mógłby wytłumaczyć pominięcie w czasie wojny rządu sojuszników oraz jego sił zbrojnych, których wkład do walki był niejednokrotnie zauważany przez wielkich sprzymierzonych.

Idmy dalej. Uchwała głosi co następuje:

„Molotow, Harriman i sir Archibald Clark Kerr są upoważnieni jako komisja do konsultacji w pierwszej instancji w Moskwie z członkami obecnego rządu tymczasowego i z innymi demokratycznymi przywódcami polskimi wewnątrz Polski i za granicą w celu reorganizacji obecnego rządu według powyższych zasad”.

Pomijając dalsze wysuwanie rzekomego „obecnego rządu tymczasowego” na miejsce czolowego polskiego organu państwowego, należy zastanowić się nad rolą przyznanej komisji alianckiej, w której oczywiście czołową postacią będzie p. Molotow. Jakiej będą jej funkcje? Jeżeli jej właśnie powierzona została misja utworzenia nowego „rządu” polskiego, w takim razie konferencja trzech, nie pytając Polaków o zdanie i bez żadnego upoważnienia, postanowiła przekazać suwerenne prawa Rzeczypospolitej, a w szczególności uprawnienia Prezydenta Rzeczypospolitej w ręce czynników niepolskich, co oczywiście musiałyby oznaczać zlikwidację niepodległości państwa polskiego.

Powiadają nam może, że przesadzamy. Ale w takim razie kto ma być poza p. Molotowem upoważniony do powołania owego „nowego rządu polskiego”? O Prezydencie Rzeczypospolitej, uznawanym przez wszystkie narody sprzymierzone i neutralne poza Rosją Sowiecką, a którego król Wielkiej Brytanii witał na dworcu w Londynie w r. 1940 jako niezlomnego alianta, uchwała konferencji trzech nie raczyła nawet wspomnieć. A może funkcję tę przejmie p. Bierut, agent i posłuszny wykonawca uchwał partii komunistycznej i Moskwy? I w tym wypadku oznaczać to będzie koniec niepodległości Rzeczypospolitej.

„Polski tymczasowy rząd jedności narodowej — głosi uchwała — będzie zobowiązany do przeprowadzenia wolnych i nieskrępowanych wyborów, jak tylko to będzie możliwe, na zasadzie głosowania powszechnego i tajnego. W wyborach tych będą miały prawo wziąć udział i wystawić kandydatów wszystkie demokratyczne i antyhitlerowskie partie”.

Zapytujemy, gdzie są gwarancje, że zapowiadane wybory w Polsce będą wolne i nieskrępowane? Gdzie gwarancja, że będą one powszechne i tajne? Kto za to bierze odpowiedzialność i o siłę stanie, gdy wybory okażą się gwałtem i oszustwem, jak okazały się nimi wszystkie głosowania przeprowadzone w Europie w czasie tej wojny pod okupacją sowiecką i pod przemocnym wpływem partii komunistycznej, działającej, jak to wykazały ostatnio wypadki w Grecji, przy pomocy terroru i zbrodni.

Uchwała powiada, że w akcji wyborczej mają wziąć udział, „wszystkie partie demokratyczne i antyhitlerowskie”. W Polsce nie było polskich partii prohitlerowskich. Jedyną partią prohitlerowską byli komunisty, którzy stosując się do przyjaźni niemiecko-sowieckiej, trwającej od września 1939 r. do czerwca 1941 r., nie tylko nie występowali przeciwko Niemcom i hitlerowcom, ale żyli z nimi w najidealniejszej zgodzie i zażyłym porozumieniu. Poza nimi wszystkie partie polityczne polskie, niezależnie od dzielących je różnic na sprawy wewnętrzne czy społeczne, były i są solidarne w walce z Niemcami, w walce o niepodległość państwa. I tylko Moskwa usiłuje oszerzaniem sfalszować ten stan rzeczy, i tylko Moskwa brągnie przycięć przymiotnik „faszystowski” czy „antydemokratyczny” do wszystkich niezależnych ugrupowań politycznych. „Faszystami” są więc oczywiście pilsudscy, choć rząd, w którym oni mieli głos główny, zdecydował się pierwszy w Europie na stawienie zbrojnego oporu Hitlerowi. „Faszystami” są oczywiście zwolennicy Stronnictwa Narodowego, które od pierwszej chwili wojny brało udział w ruchu podziemnym i w walce czynnej, a którego jeden z czolowych przywódców Aleksander Dębski został przez hitlerowców ścięty w Poznaniu. „Faszystami” są także socjaliści, których przywódca, a zarazem jeden z kierowników walki podziemnej w Polsce jest dziś szefem rządu naszego, „Faszystami” byli nawet socjaliści żydowscy z „Bundu” Alter i Ehrlich, rozstrzelani w Rosji jako „zdraycy sprawy demokratycznej”. „Faszysta” jest gen. Bór-Komorowski, wódz powstania warszawskiego, „faszysta” jest gen. Anders, którego Korpus przyczynia się do usuwania rządu faszystowskich z Włoch, „faszysta” jest każdy, kto przeciwstawia się przemocy komunizmu i Moskwy.

Wszystko to są według nomenklatury moskiewskiej czynniki reakcyjne i antydemokratyczne, których uchwała konferencji trzech pozbawia praw obywatelskich w Polsce. Nawet pozycja p. Miłkojczyka i jemu podobnych nie jest pod tym względem zbyt pewna, albowiem również jemu „odbierano” obywatelstwo polskie i chciano go „wieszać”. Obecne wydarzenia w Polsce, a więc krwawe przesładowanie Armii Krajowej, jak i wszelkich kierunków politycznych polskich niezależnych jest zapowiedzią, jak będzie wyglądała owa uchwała upoważniająca do działań politycznych w Polsce jedynie ugrupowania „demokratyczne” i „antyhitlerowskie”.

„Zresztą, jakie znaczenie ma dziś słowo „demokracja”, i jak je należy interpretować? Wiemy, że inaczej należy je rozumieć w Grecji czy we Włoszech, inaczej już w Jugosławii, a zupełnie zmieniano o swój dotychczasowy sens w Polsce pod rządami komunistów. Zapytujemy, czy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone gotowe są za gwarantować, że w Polsce demokracja będzie ściśle wykonywana według sformułowań i przepisów, które premier Churchill nakreślił dla Włoch i dla Grecji?”

„Gdy polski tymczasowy rząd jedności narodowej zostanie utworzony zgodnie z powyższymi zasadami, rząd ZSRR, który utrzymuje stosunki dyplomatyczne z obecnym rządem tymczasowym w Polsce, i rząd Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nawiązą dyplomatyczne stosunki z nowym polskim rządem jedności narodowej dokonają wymiany ambasadorów, przez których odnośne rządy będą informowane o sytuacji w Polsce”.

Uchwała ta jest niczym innym jak zapowiedzią zerwania stosunków dyplomatycznych przez W. Brytanię i St. Zjednoczone z rządem polskim, którego w tym nawet punkcie nie raczone wymienić. Ponaudziamy pytanie, co rząd polski uczyni, by w czasie trwania wojny, wspólnie prowadzonej, postanawiano zerwać z nim stosunki dyplomatyczne i pomijać jego istnienie? Drugie pytanie: jakie istnieją gwarancje, że ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w Polsce będą mogli wykonywać, choćby pozornie nawet, kontrolę nad tym, co się w tym kraju będzie działo?

„Szefowie trzech rządów uważają, że wschodnia granica Polski powinna przebiegać wzdłuż linii Curzona z poprawkami w niektórych rejonach od 5-8 km na korzyść Polski. Uznają oni, że terytorium Polski powinno być istotnie powiększone na północ i zachódzie. Uważają, że odnośnie rozmiarów tych terytorialnych powiększeń należy wysłuchać opinii nowego polskiego tymczasowego rządu jedności narodowej na normalnej drodze, przede wszystkim określenie granic Polski na zachodzie powinno być odłożone do momentu konferencji pokojowej”.

Amerycanie polskiego pochodzenia nazwali już uchwałę o „ustępstwach” terytorialnych na rzecz Polski w postaci jakichś skrawków 5-kilometrowych dęczyją „znieważającą Polaków”. Istotnie trudno dobrać czym zażyliśmy sobie na takie traktowanie. Ale nie o to chodzi. Rzeczą istotną i najbardziej godzącą w podstawowe interesy Polski jest określenie już obecnie bez pytania o zdanie Polaków granicy wschodniej Polski, z odebraniem nam połowy państwa, i pozostawienie granicy zachodniej i północnej w zawieszaniu i w mgłach.

Nawet kraje zwyciężone, pobite w tej wojnie otrzymały od zwycięzców lepsze warunki rozjemcze, a więc choćby tylko Finlandia i Rumunia. Można przypuszczać, że gdybyśmy przez cały czas wojny należeli do państw „osi” nie mogliśmy oczekiwać gorszego potraktowania naszych interesów.

Uchwała wspomina o linii Curzona. W gruncie rzeczy nie chodzi o linię Curzona, ale o linię Ribbentrop-Molotow. Linia p. Ribbentropa uznana została przez wielką trójkę za podstawę do wykreślenia granic polskich na wschodzie. Linia Curzona nie obejmowała, jak wiadomo, Małopolski Wschodniej, nie dotyczyła w szczególności Lwowa. Tymczasem wiemy, że na konferencji trzech sprawa Lwowa została rozstrzygnięta na naszą niekorzyść. Pisma amerykańskie przyznały, że prezydent Roosevelt jechał na konferencję w nadziei, że uda mu się uratować Lwów i zagłębie nafteowe dla Polski. Pisma te ujawniły jednak, że starania prezydenta nie powiodły się („failed”). A zatem nie linia Curzona ale linia Ribbentropa została przyjęta na konferencji trzech. Jest to chyba jedyny wypadek w dziejach, by państwa zwyciężające wykreślały granice swoich sojuszników według propozycji ministra spraw zagranicznych państwa zwyciężonego.

Niemcy są podobno bardzo zadowoleni z wyniku konferencji trzech. Daje im różne atuty propagandowo-polityczne. Nie dziwnego. W sprawach Polski na konferencji trzech zwyciężył pogląd nie tylko Molotowa, ale i p. von Ribbentropa. Zapytujemy, czy konferencja trzech oznacza zwycięstwo, czy klęskę nie tylko Polski, ale i wszystkich narodów sprzymierzonych? My mamy o tym określone pojęcie i dlatego uchwały konferencji trzech odrzuciliśmy, wierząc, że absurd nie może być wieczny.

Nowe książki „Biblioteki Orła Białego”

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej — Wydanie Drugie — z nową przedmową Ryszarda Piestrzyńskiego.

Artykuły zebrane — Adolf Bochenński — Cena 50 hrow.

Wspomnienia Starobieliskie — Józef Czapski — Cena 50 hrow.

Wracając z Angli — Janusz Wedow — poczęje — cena 40 hrow.

Przewodnik serdeczny — Bolesław Kobrzyński — poczęje — cena 40 hrow.

Prosta jak sosna wyrosła — Jan Olechowski — poczęje — cena 40 hrow.

Rozmowa z księżyccym J. Żywina — wiersze. Cena za egz. 40 hrow.

Bolszewizm i religia — W. Kama — cena za egz. 55 hrow.

Pamiętniki Murawiewa — tłum. z oryginału rosyjskiego — cena 55 hrow.

HENRYK TENNENBAUM

Nieco o imperializmie

W literaturze politycznej światowej doś-
wyc powszechnie ugruntował się pogląd, że
wielkie państwa uprzemysłowione, w celu
zdobycia rynku dla swych wytworów i su-
rowców dla ich wytwarzania, muszą pro-
wadzić politykę imperialistyczną, która
pozwala na podbitych terytoriach opano-
wywać bogactwa mineralne i roślinne i
jednocześnie zaopatrywać je w wy-
twory przemysłowe wytwarzane w me-
tropoli. W wyniku tej dążności wy-
tworzało się współzawodnictwo państw
imperialistycznych, doprowadzające co
pewien czas do zbrojnych zatargów.
Liczne dzieła przez szereg dziesiątków lat
dowodziły, że jedynie ustrój socjalistyczny
jest w stanie usunąć to współzawodnictwo
i płynące z niego konflikty, albowiem pań-
stwostwo własności oddaje bogactwa da-
nego kraju w ręce zamieszkującego je na-
rodu, co uniemożliwia zatargi państw
imperialistycznych, dążących do ich opano-
wania.

W miesiącu października roku ubiegłego
nastąpił fakt doniosły: komunistyczna
Rosja, pierwsze państwo socjalistyczne,
wysłała pod adresem rządu perskiego z
żądaniem udzielenia jej koncesji naftowej
w północnej Persji. Gdy rząd perski odmó-
wił udzielenia koncesji w czasie wojny, i
oświadczył, że podania o koncesję roz-
patrzy dopiero po jej zakończeniu, prze-
chwył w Persji wiekiemiszar spraw za-
granicznych rosyjski oświadczył, że rząd
perski postępuje nielegalnie w stosunku do
Rosji i jest zawadą dla rosyjsko-perskiej
kooperacji.

Jednocześnie w prasie perskiej rozpo-
czyły się ataki przeciwko rządowi per-
skiemu.

Rzecz prosta, że rząd perski nie odwa-
żyłby się na odmowę udzielenia koncesji
jedynie Rosji. Odmowa ta została sformu-
lowana ogólnie i dotyczyła konsorcjum
wszystkich narodowości, w tym Anglików
i Amerykanów. Po gwałtownym protestie
Rosji przeciwko tej odmowie, ambasador
amerykański w Teheranie złożył w imie-
niu swego rządu oświadczenie wyrażające
zgody na odroczenie terminu badania zgło-
żeń koncesyjnych. Rząd angielski dał do
rozumienia, że również nie ma nic przeciw-
ko temu, aby rząd perski przystąpił
do udzielenia koncesji naftowych po ukon-
czeniu wojny. „Times” z 3 listopada 1944
wypowiedział pogląd, że Rosja ma wszel-
kie dobre prawa do starania się o kon-
cesje naftowe w Persji, lecz ubolewa z po-
wodu metod, którymi posługuje się rząd
rosyjski, tłumaczy jednak postępowanie
faktem, który słusznie mógł Rosję podraż-
nić. Mianowicie przed paru miesiącami
odbyły się rozmowy angielsko-amerykań-
skie na temat uzgodnienia akcji Anglii i
Ameryki przy ubieganiu się o koncesje
naftowe i do tych rozmów Rosja nie była
zaproszona. „Times” wyraża nadzieję, że
Rosja będzie w przyszłości zapraszana do
wzięcia udziału w takich rozmowach.

A zatem powstaje współzawodnictwo
wielkich państw imperialistycznych o po-
zyskanie ropy w obcych krajach. W tych
zapasach Rosja sowiecka występuje w tym
samym charakterze, co państwa kapitali-
styczne. Na terenie międzynarodowym za-
chowanie się kapitału państwowego ro-
syjskiego mało czym się różni od zachowa-
nia się kapitałów prywatnych w krajach
burżuazyjnych. Być może, że jedyna róż-
nica polega na tym, że w krajach pry-
watno-kapitalistycznych socjaliści i komu-
niści krytykują i zwalczają politykę swych
rządów, natomiast w Rosji sowieckiej po-
lityka o tych samych tendencjach jest z
natury rzeczy апробована.

Wydarzenia w Persji nie są incydentem
odsobnionym. „Sunday Times” z dnia 5.
listopada 1944 donosił, że według informac-
ji z wiarygodnych źródeł, Rosja zapro-
ponowała konsorcjum zagranicznym eks-
ploatającym złoża naftowe w Rumunii
odprzedaż ich Rosji.

W części północnej Finlandii dołączonej
do Rosji, rząd rosyjski zaczął odprzedaż
koncesji zagranicznym na eksploatację złóż
niklowych.

Trudno jest odpowiedzieć w tej chwili
na pytanie, czy dążenie Rosji do pozyski-
wania koncesji w obcych państwach le-
żących, lub mających leżeć w jej sferze
wpływów, dotyczy tylko złóż naftowych.

Powstaje pytanie, czy i na terenie Europy
środkowo-wschodniej Rosja zechce wy-
stąpić z podobnymi żądaniem w stosun-
ku do innych bogactw mineralnych, np.
węgiela kamiennego.

Wielkie państwa uzasadniają potrzebę
posiadania sfery wpływów względami stra-
tegicznymi i stawiają żądanie, aby państwa
leżące w ich sferze wpływów odnosiły się
do nich przyjaźnie. W wieku XX w imię
bezpieczeństwa strategicznego można do-
gadać się, aby przemysł, leżący w krajach
włączonych ze względów na bezpieczeń-
stwo strategiczne do sfery wpływów wiel-
kiego państwa, rozwijał się i kształtował
zgodnie z nakazami polityki strategicznej
kierującego państwa. Motyw strategiczny
daje możliwość ingerencji do niemal każde-
go działu życia gospodarczego.

Jak wiadomo, w każdym państwie roz-
różnia się różne jego strony pod kątem
widzenia ich bezpieczeństwa strategicz-
nego. I w Polsce mieliśmy t. zw. trójkąt bez-
pieczeństwa. Jak Polska, co znalezi-
niu się w sferze wpływów rosyjskich, może
być traktowana pod względem gospodar-
czym, nie jest trudno odpowiedzieć, jeżeli
się przyjrzeć dawnej polityce rosyjskiej w
stosunku do Królestwa Kongresowego.
Wszystkie zamówienia państwowe na
sprzęt wojenny i kolejowy były udzielane
fabrykom w centralnej Rosji. W Króle-
stwie Kongresowym nie było ani jednej
fabryki lokomotyw, ani jednej fabryki
sprzętu wojennego. Europa środkowo-
Wschodnia, o ileby się znalazła w sferze
wpływów rosyjskich, będzie z natury rze-
czy najbardziej zagrożonym terenem, naj-
mniej bezpiecznym z punktu widzenia in-
teresów rosyjskich. Jest wysoce prawdo-
podobne, że Czechy będą uznane za bardzo
nieodpowiednie miejsce dla fabryk Skody.
Doświadczenia ostatniej wojny zmusiły
Rosję do przesuwania swego przemysłu
wojennego z Rosji europejskiej na Ural i
do Azji. Z ostatnich oświadczeń rządowych
rosyjskich wynika, że te ośrodki w Azji
mają być po wojnie utrzymane, fabryki i
urządzenia wywiezione z Rosji europej-
skiej mają pozostać na stałe w ośrodkach
azjatyckich; robotnicy przeniesieni do tych
ośrodków zostali zawiadomieni, aby nie
liczyli na powrót do europejskich ośro-
dków przemysłowych.

Trudno odpowiedzieć na pytanie, czy to
przesuwanie z zachodu na wschód będzie
zasadniczą tendencją polityki gospodarczej
rosyjskiej. Gdyby się tak stało, to wtedy
narzuca się przypuszczenie, że technicy
i wykwalifikowani robotnicy z krajów
Europy środkowo-wschodniej byłoby trakto-
wany jak element bardzo po-
żądany i pożyteczny w rosyj-
sko-azjatyckich ośrodkach
przemysłowych. W ten sposób zona
Europy środkowo-wschodniej stawałaby
się zoną defensywną, strategicznie nie-
pewną, w którejby ze względów stra-
tegicznych nie popierano rozwoju pry-
mysłowego, natomiast ośrodki przemysłu
azjatycko-rosyjskie wymagałyby zabez-
pieczenia strategicznego.

Persja interesuje Rosję, nie tylko ze
względów na naftę, lecz również jako osłona
jej nowozbudowanych okręgów przemy-
słowych. Wielkie ośrodki przemysłowe w
azjatyckiej Rosji są zapewne największymi
centrami przemysłowymi na kontynen-
cie azjatyckim, z którymi się mogą rów-
nać tylko ośrodki, jakie stworzyła Japo-
nia w północnych Chinach i Mandżurii. Z
punktu widzenia wymagań strategicznych,
Rosja przypisuje wielkie znaczenie tym
dwóm strefom bezpieczeństwa, jakimi są
Europa środkowo-wschodnia i Persja z
Bliżniem Wschodem. W prasie angielskiej
niekiedy wypowiediany jest pogląd, że je-
żeli życzenia Rosji będą zaspokojone w
jednej strefie, np. w Europie środkowo-
wschodniej, to Rosja będzie bardziej pow-
ściągliwa i umiarkowana przy stawianiu
derywatów politycznych w drugiej strefie,
tj. na Bliżniem Wschodzie. Przypuszcze-
nie to wydaje się błędne: im lepiej Eu-
ropa środkowo-wschodnia będzie spełnia-
ła rolę zony defensywnej, tym więcej swo-
bady będzie miała Rosja w stawianiu za-
mierzonych przez siebie zadań ośrodkom
przemysłowym w Rosji azjatyckiej, a na-
wet w Persji.

W Chicago 11 listopada, 1944r

Panie Generale!

Świętostwo Drugiego Korpusu Wojsk
Polskich pod Monte Cassino odbiło się silnym echem
nie tylko wśród Polonii Amerykańskiej, lecz również
w społeczeństwie i prasie Stanów Zjednoczonych.
Co też, gdy Rząd Rzeczypospolitej w Londynie
zadecydował o zniesieniu pocztywotku ku uczczeniu
tego Wspaniałego Zwycięstwa Oręża Polskiego,
Konsulat Generalny R.P. w Chicago wykorzystał
okazję upamiętnienia piętej rocznicy napadnięcia wroga
na Polskę. W tym celu zostały sporządzone
specjalne adresy, jakie włączono w listy 50-u
najwobitniejszych przedstawicieli miast społeczeństwa
amerykańskiego bliższego okręgu oraz zasłużonym
mieszkańcom polsko-amerykańskim.
Przez listy pocztowe skierowane Panu Generalowi
adres ten znać kamie pozwalam sobie złożyć. Mu-
szę być, że wśród pańskich świadczących o podziwieniu
i szacunku dla Stanów dla Bohaterskiego
Ducha Żołnierzy, godnych następców Chro-
brych, Żołnierzy, Sobieskich i Dąbrowskich
Obcy Bog dobry prowadził Pana, Panie
Generale, oraz Jego Żołnierzy do
Wolnej Niepodległej Polski!

Wielmożny Pan
Generał Władysław Anders
Dowódca Drugiego Korpusu Wojsk Polskich
Mięjsce Postoju we Włoszech

Włoc
Konsul R.P.
Aleksander Włoc

Podobizna adresu Polonii amerykańskiej do gen. W. Andersa

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

POMNIK

Pocto, coś na miarę Fidiasza lub krawca
Odmierzać chciał nam piersi — spojrz jak się zuchwali
Wspaniały w dżungli polskiej ideał szubrawca
I jaki w naszych czasach urodzaj kanałii.

Zadne diuto lepszego nie znajdzie modela
Na pomnik nędzy ludzkiej, niż tu, na tym rynku,
Gdzie co chwila ktoś kraj nasz w połowie rozdziela
I do historii wzdycha po takim uczynku.

Zaden rzeźbiarz się nie czuł w marmurze swobodniej,
Zadna wizja się jaśniej ze snów nie wynurza,
Niż tu gdzie nie odróżnisz głupoty od zbrodni,
Złych proroków od zdradców, najmyt od tchórzea.

Nie, nie krawców nam trzeba dla wielkiej tej sceny,
Dla grozy i ohydy i pychy podłości,
Na tej stypie pochroniów i skrajnej hyeny
Przy mogłach, gdzie jeszcze nie obeszły kości.

Ty ich zaklinj, Fidiaszu, te widma z agory,
Daj im twarz, której niechaj nikt z nas nie zapomni,
Byśmy się ich wyzbyli, jak hańby i zmyry,
I by palcem wytykać ich mogli potomni.

Konflikt francusko-angielski

Między Francją a Anglią powstało nowe napięcie stosunków na tle zagadnień związanych ze sprawą niepodległości państw Lewantu: Syrii i Libanu.

Rząd francuski postanowił wzmocnić swoją pozycję w tych państwach, poważając zachowaną polityką rządu Vichy i wypadkami, jakie miały miejsce na terenie Libanu w r. 1943 i dlatego generał de Gaulle uzależnił zawarcie paktu anglo-francuskiego od uprzedniego uregulowania pozycji Francji w Lewancie. Na konferencji prasowej, która odbyła się przed kilku tygodniami de Gaulle dał do zrozumienia, że Francja uznając zasadniczo niepodległość Syrii i Libanu, pragnie jednak restytuować swoją dominującą rolę w tych krajach.

Minister spraw zagranicznych Francji miał oświadczyć, że rząd francuski jest zdecydowany bronić swoich praw w Lewancie przy pomocy wojska.

Równocześnie z tymi oświadczeniami ze strony Francji, miały miejsce na terenie Libanu wydarzenia, które wywołały reakcję zarówno rządów miejscowych, jak i miejscowej ludności. Francuzi żądali podporządkowania miejscowych oddziałów wojskowych swojemu dowództwu, na co rząd libański ze swej strony zażądał oddania do jego dyspozycji specjalnych wojsk miejscowych, tzw. „levies”.

W Bejrucie studenci zorganizowali demonstracje uliczne, domagające się utworzenia libańskiej armii narodowej i usunięcia wojsk francuskich z Libanu. Demonstranci nieśli w pochodzie ulicznym tablicę z napisem: „nie ma wolności bez wojska”. Takie same demonstracje zorganizowano w Damaszku.

Wszystkie te oświadczenia i wydarzenia wywołały żywą reakcję rządu, parlamentu i opinii angielskiej.

Anglia żywoła deklarację francuską, zobowiązującą rząd francuski do ogłoszenia niepodległości tych krajów. Zalatwienie tej sprawy wiąże się ściśle z angielskimi planami organizacji unii panarabskiej. Odpowiadając na liczne zapytania w tej sprawie w parlamencie angielskim, podsekretarz stanu Law oświadczył, że „zadanie stosunków francusko-syryjskich jest przede wszystkim sprawą negocjacji pomiędzy Francją i innymi tymi państwami — przede czy później traktat w tej sprawie musi być zawarty i — zdaniem rządu królewskiego — im prędzej dyskusja w tej sprawie dobiegnie końca, tym będzie lepiej”.

Na niepokojące pytania posłów angielskich, co do możliwości użycia przez Francję nacisku wojskowego na miejscowe czynniki, Law dał odpowiedź: uspokajającą, lecz przestrzegającą równocześnie Francję przed użyciem nacisków tego rodzaju.

Bardzo zdecydowanie przeciwko żądaniom francuskim wystąpił w Anglii generał Spears, były poseł brytyjski w Syrii i w Libanie, który w r. 1943 odegrał dużą rolę w czasie wypadków listopadowych w Libanie.

Spears powrócił niedawno z podróży po krajach Bliskiego i Środkowego Wschodu i w parlamencie, prasie londyńskiej („Daily Telegraph”) i w swoich odczytach w Londynie dał wyraz następującym poglądom na zagadnienia państw Lewantu:

Przyznanie Francji przodującego stanowiska w Lewancie, zwłaszcza przyznanie jej prawa utrzymywania na tych terenach sił zbrojnych i podporządkowanie dowództwu francuskiemu miejscowego wojska, jest niemożliwe. Pociągłoby to za sobą nowe zaburzenia na tych terenach, ponieważ Arabowie wzmocnienie pozycji Francji uznaliby za nowe niebezpieczeństwo dla niepodległości całego świata arabskiego.

Przypominając, jak po tamtej wojnie świat arabski czuł się pokrzywdzonym wskutek niedotrzymania obietnic udzielenia mu niepodległości, Spears wyrażał obawę, że nowe awantury na tym terenie mogłyby rozpętać wojnę na całym Środkowym Wschodzie. Anglia, która w r. 1941 wraz z Francją zobowiązała się zabezpie-

czyć niepodległość Syrii i Libanu, musi z tego zobowiązania wywiązać się.

Spears prowadząc propagandę za utworzeniem unii pan-arabskiej przestrzegali opinii angielskiej, że na skutek akcji sjonizmu w Palestynie i stanowiska Francji w Libanie, Anglia może utracić swoją pozycję na Bliskim Wschodzie.

Także „Tribune” zaatakowała de Gaulle'a za łączenie sprawy syryjskiej ze sprawą zawarcia paktu anglo-francuskiego. Pismo przestrzegało Francuzów, że takie stawianie sprawy nie pozyska poparcia brytyjskiego dla de Gaulle'a i może doprowadzić do konfliktu.

Geopolitycy analizując historię walk o panowanie nad światem i zastanawiając się nad drogami dojścia do tego celu, wyrażają pogląd, że istnieje tutaj tylko dwie możliwości: 1. zdobycie panowania na morzach (twierdzenie Mahana, że nie Wellington, lecz Nelson pobit Napoleona) albo 2. opanowanie obszarów centralno-azjatyckich i krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu, co w konsekwencji prowadzi do panowania nad Azją, Europą i Afryką.

De Gaulle, podejmując w tej chwili w imieniu odradzającej się Francji walkę o odzyskanie pozycji Francji w Lewantach, nie kieruje się bynajmniej jakąś skłepi-

ską myślą wzmocnić swoją pozycję; przez pozyskanie poparcia całego świata arabskiego. Stąd jej akcja popierająca niepodległościowe dążenia Arabów i plan zjednoczenia państw arabskich w unii panarabską.

Rosja natomiast jest przeciwniczką unii panarabskiej i nie chce dopuścić do jej powstania wykorzystując i popiera wszystko to, co realizację tej unii utrudnia.

Zastanawiając się nad przyczynami sensacyjnego zainteresowania Rosji, między innymi i sprawami Palestyny i sjonizmu — nowojorskie pismo „Forverts” dochodzi do wniosku, że dopóki istnieje będzie możliwość zjednoczenia przez Anglię całego świata arabskiego dopóty Moskwa — ze względu taktycznych — popierać gotowa sionizm. Zaniecha jednak tej polityki w chwili, gdy upadną panarabskie plany Anglii. Oczywiście nie ma tu mowy o jakimś zasadniczym zwrocie w poglądach Moskwy na rolę sjonizmu, w którym Sowety dopatrują się stałe narzędzia polityki angielskiej. Jeśli go Rosja w tej chwili popiera to tylko w takim stopniu, w jakim to krzyżuje plany angielskie i nie narusza tej Arabom.

Rosji tak samo jak i Anglii, zależy na pozyskaniu sympatii świata arabskiego, ale chce ona ją zdobyć przez nawiązanie silnych, bezpośrednich kontaktów z poszczególne państwami arabskimi. Obawia się natomiast unii panarabskiej. Omawiając zabiegi Rosji w celu pozyskania wpływu w państwach arabskich, amerykańskie czasopismo „Asia” pisze, że Rosja będzie starała się uzyskać bazy strategiczne na terenach państw arabskich.

De Gaulle, zdając sobie sprawę z gry rosyjsko-angielskiej, doświadczył przekonania, że jego akcja za wzmocnieniem pozycji Francji w Lewantach będzie na rynek planu rosyjskiego, co w konsekwencji powinno zmusić Anglię do zawarcia korzystnego dla Francji kompromisu. Z tego założenia zapewne wynika związanie się Francji przymierzem najpierw z Rosją, a nie z Wielką Brytanią i z tego samego powodu de Gaulle uzależnił zawarcie traktatu z Anglią od równoczesnego uregulowania spraw państw Lewantu.

Francja broni się przed ostateczną likwidacją swojego stanu posiadania na Bliskim Wschodzie i broni swojej wielkomocarstwowej pozycji. Natomiast Anglia, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwem narastających na tych obszarach przyszłych wielkich konfliktów, pragnie mieć tam pozycję, która chroniłaby ją od niespodzianek, jakie miały miejsce na terenie Syrii po upadku Francji w roku 1941.

Przy likwidacji powstałego w ten sposób wielkiego napięcia pomiędzy Anglią i Francją obydwa państwa powinny się raczej kierować myślą o tych nadchodzących, wspólnych zresztą dla całego zachodniego świata niebezpieczeństwach, niż chęcią bezkompromisowej likwidacji wiekowej rywalizacji.

Odpowiedzi redakcji

Feliks R. C.M.F. 524. Forma artykułu za mało wypracowana, aby można go było drukować. Poza tym nie zgodzamy się z twierdzeniem Pana, że Rosja posługuje się teraz wyłącznie agitacją komunistyczną. Rosja, jak widzimy, posługuje się najroznorodniejszą formą agitacji, zależnie od sytuacji w kraju, w którym chce się usadowić. W Polsce jej agenci na zewnątrz nie wspominają o kolektywach, w Jugosławii Tito gra na uczuciach nacjonalistycznych i t. d.

Kpt. Okt. M. C.M.F. 528. Serdecznie dziękujemy za nadstany, rzeczywiście interesujący materiał. Co prawda nie wiemy, czy uda nam się go wykorzystać ze względu od nas niezależnych.

Kan. A. Czerw. C.M.F. 171. Nadstany utwór przekazaaliśmy „Dziennikowi Żołnierza A.P.W.”



Patrol polski w stroju ochronnym

Fot. W. Chruściel

Jedną z przyczyn, dla których Francja wybrała obecny moment do rozrywk: o swój stan posiadania w Lewantach jest niewątpliwie i ten fakt, że Anglia usunęła trudności, jakie istniały pomiędzy poszczególnymi państwami arabskimi, przystępując do realizacji swojego planu w sprawach arabskich. W tej chwili odbywa się w Kairze konferencja ministrów spraw zagranicznych państw arabskich, która ma zdecydować o terminie zwołania kongresu panarabskiego, a tym samym i o utworzenie unii.

Konflikt angielsko-francuski na tle Syrii i Libanu jest jeszcze jednym z epizodów — być może końcowym — wielkiej rywalizacji obu wielkich imperiów kolonialnych na tle skrzyżowania się ich zasadniczych interesów na obszarach Bliskiego Wschodu i w sferze Kanalu Sueskiego.

Historia walki francusko-angielskiej o wpływy w Egipcie, zażarta kampania Palmerstona przeciwko budowie przez Francuzów Kanalu Sueskiego, akcja Anglii na kongresie pokojowym po pierwszej wojnie światowej, zmierzająca do jak największego ograniczenia zasięgu mandatu francuskiego na Bliskim Wschodzie — wszystko to było następstwem rywalizacji dwóch równorzędnych potęg, ścierających się w najbardziej węzłowym punkcie globu.

Nie jest przesadą powiedzieć, że sprzeczności mocarstwowości i światowej pozycji danego państwa jest jego rola na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

Hegemonia Anglii nad światem oparta była z jednej strony na panowaniu nad szlakami morskimi, z drugiej zaś strony na dominującym wpływie na obszarach od Egiptu do rzeki Indu.

Każdy naród, który zaczyna marzyć o panowaniu nad światem i o uczestniczeniu w wielkim koncercie moce, prędzej czy później musi zwrócić uwagę na tę część globu. Ku tym obszarom od dawna dąży Rosja, przed którą już panujący cesarcy roznegli miraż opanowania całej Azji, ku tym obszarom musiała się zwrócić ekspansja Niemiec i Italii Mussoliniego, gdy ich ogarnął szal pobjęto świata — w niesłychanie szybkim tempie rosła zainteresowanie tymi obszarami w Stanach Zjednoczonych.

karską zachłannością kolonialnego zaborcy, który chciałby uratować niewielki stosunkowo obszar dla celów swojej eksploatacji. Ostateczna pula o władanie światem w dużym zakresie rozegra się przy arabsko-perskim stoliku i dlatego de Gaulle chce przy tym stoliku zachować pozycję Francji. Premier francuski słusznie rozumie, że jeśli się da od tego stolika odsunąć, to utraci jeden z najdonioślejszych atutów w walce o restaurację wielkości Francji. Przegrawszy przy stoliku blisko-wschodnim, przegra Francja z kolei i przy stoliku daleko-wschodnim i zjedzie w ten sposób do roli drugorzędnego państwa.

Głównymi partnerami w grze na Bliskim i Środkowym Wschodzie są trzy mocarstwa: Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Rosja.

Wielka Brytania zagrożona na tych obszarach przez narastające wpływy Mo-



Fot. Michałki

Moździerz na stanowisku

HERMINIA NAGLEROWA

OBŁĘD I POLITYKA

Sprzeczkę między Ireną i Jadwigą o obraz utworzony na ścianie przez opadającą tyńkę — stawiały się tak żaźratek, jak spory między dwoma kierownikami malarzskimi. Szło tu jednak tylko o treści przypadkowych rysunków czy szkiców, bo podczas gdy Irena widziała kościoły i cmentarze, Jadwiga dostrzegała aleje drzew albo gęsi na stawie. Wreszcie Eugenia, wezwana na arbitra, dopatrywała się jakby sangwiną rysowanego — autoportretu Leonarda da Vinci. Wzrok, pełen urazy do przeciwniczek, zachowywał swoją własny obraz, swoją własną wolę widzenia.

Zacieki na ścianach dostarczały natomiast materiału do innych spórów: — politycznych. Były to bowiem mapy. Jeżeli już sceptycznie zgadzano się na koślawe obryślenie granic, to jednak trudno było o ustalenie poglądów na bieżące sprawy wojny. Nic nie wiedząc o tym, co się dzieje „na świecie”, byliśmy przecież w jakiś sposób — wiedzące. Wystarczyły głuchy głos wieńca-Polaka, usłyszany w „telefonie”, zorganizowany w ustępie — że Włochy wystąpiły przeciw Niemcom — aby ustalić dalszy bieg wydarzeń. Optymistki objawiały niepokojące pośpiech, całym ramieniem zagarniając mapę na rzecz swoich politycznych iluzji. Pesymistki zaś stały bezradnie przed sobą w jedno miejsce, które wyobrażało Polskę, ściślej — jakieś miasto, jeszcze ściślej wieś, nieznaną osadę. Tu, tu właśnie było nieodwrotne już nieszczęście przegranej, tu miał już rok okupacji niemieckiej czy sowieckiej. Rozjemczyń! podnosiła wtedy czy tu sufitowi czararni od wilgoci i orzakała stanowczo: — Będzie wojna między Sowietami a Niemcami!

Rzecz dawna, że przewidywanie to nie napotykało na sprzeciw. Robiło się cicho w celi, a cierpliwosć stawała się jakby zarliwa. Jeżeli ktoś westchnął, rozumiano, że taki głębszy oddech zastępuje szalone słowo: wolność. Możliwość tego słowa była taka sama, jak możliwość pasa promieni słonecznych, pływających w pogodnej dnie krętą na oknie. Słowo i piła słoneczna były jedynie czałem, który rozstrajał. Twaraże stawały się od tego jeszcze blade, a rozmowy bardziej naiwne. Dotyczyły snów, przepowiedni, ptaków zlatujących na brzeg okiennego „kosza”. Rozszerzając przestrzeń celi, posiadaty jednak cechy objędu.

Jednej nocy Maryjka naprawdę dostała objędu. Od wielu już tygodni zapadała w to żito, budząc w nas czasem współczucie, a czasem gniew. Wreszcie gwizd strażnika za oknem rozszarpał ostatnią nitkę jej przytomności. Już bez oporu weszła w dziedzinę lęku. Wszystko było dla nas zrozumiałe — że zaczęło się to jeszcze przed wielu miesiącami w więzieniu zamarynowskim we Lwowie, gdzie ją kilkakrotnie bito na śledztwie; że nie mogła tego znieść; że nawet, tak z początku pobozna, przestała się modlić, nie pojmując swojej krzywdy. Wszystko było proste i zrozumiałe, przez jej słów i śmiesznych min teraz, kiedy będąc dalej z nami, stała się nagle obca i niebezpieczna.

Maryjka była Ukrainką i przez jakiś czas miała wpływ na swoją grupę. Kiedy nas przewieziono do Horodni, więc na Ukrainę, zalecała swoim koleżankom podanie się dyscyplinie więzienną, uległość, niemal zastugiwanie się wadom. Dowodziła, że skoro połączono wreszcie Ukrainkę z Niemcami, Ukraini gotowe są cierpieć nawet w więzieniu. Zresztą napewno wyjdą na wolność, właśnie dlatego, że są Ukrainkami. A wtedy, wtedy już trzeba działać. Plan tego działania naszeptowała koleżankom do ucha, lecz nie tak cicho, żeby nie można było usłyszeć magicznego wyrazu: Walkenrod. Tak myślały te waleczne dziewczyny, powtarzając zapamiętane wiersze:

„Ja to sprawiłem, jakim wielki, dumny!
Tyle głów hydry jednym ściąg
zamachem,
Jak Samson jednym wstrząśnięciem
kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod
gmachem”.

Wspaniał! zamiary Maryjki przepadły odrazu z chwilą, kiedy „poczuła się kamic-

niem” i „na rękach miała krew”. Mówiąc tak, była heroinią, aby natychmiast przeobrazić się w dziecko, które strasy dorosłych groźnymi minami i pokrzykiwaniem: „hu — hu”. Dwadzieścia kobiet, opianowanych „normalnym objęciem”, usiłowano odgadnąć znaczenie powiedzeń Maryjki, jak gdyby w obłąkaniu rzeczywistym tym dziewczyny mogło się ujawnić albo nawet rozstrzygnąć to wszystko, co się dzieje. Telefon w „ubornej” doniósł właśnie tego dnia o ustaniu działań wojennych, o kapitulacji Wielkiej Brytanii. Maryjka była tą najszczęśliwszą wśród nas, była kamicem, a wiadomo, że kamień nie nie czuje. Tyle, że wzdrygała się na słowo: wojna, ale taki sam leki budziło w niej słowo: pokój. Otwierała szeroko

już nigdy wolna wśród wolnych? Mówiłam w duchu: „ulituj się, wybaw, pomóż, spraw”. Nie, to nie brzmiało tak patetycznie, to były naprawdę proste słowa, jedynie odpowiednie w tych chwilach.

Maryjka odezwała się znów: „Przyroda da już na mnie nie działa”. Była jakby dumna z tego zdania i spojrzała na mnie z góry. Nagle chwyciła się kurczowo mojego ramienia. Z za węgla więzienia wyszedł jakiś inny „nadzirateli” (mazywałyśmy tak wszystkich noszących mundur straży więzienniczej NKWD). W rękę trzymał kartkę i coś mówił, czego nie usłyszałam odrazu. Pierwsze pary zmieszaly się i przystąpiły. Wtedy dopiero zabrzmiało wyraźnie moje imię, „otczestwo” i nazwisko.



Dzieci polskie w drodze z Rosji na Śr. Wschód

swoje ciemno niebieskie ciało, a usta układała do dzieciniego hukania.

Działą było to w połowie października 1940 roku i ukraińskie niebo dawało szafirowe tło wielkim, białym obłokom. Pod murem szedł pas czerwonych cegieł, za murem rysowały się sepią gałęzie drzewka, bezlistnego już o tej porze. Na zbliżeniu dwóch ścian muru stała wysoko drewniana budka strażnika, przezwana „sowiecieczek”, właśnie dla swojego gwizdka, który tamtej nocy tak ostatecznie podzielił na Maryjkę. Ściana więzienia, według Mikolajowskiego „stylu” — prosta i długa, miała szereg okien w suterena, na parterze i dwóch piętrach. Słoucha było w bród o tej przedpołudniowej porze, więc drewniane „kosze” rzucaty ostre, skośne cienie. Na podwójne wzdobyły przylatywały po okruszyny, rzucane ukradkiem. Parami okrążyłyśmy podwórce, wylamując się jednak spod musztry „nadzirateli”. Więżniowie z pierwszego piętra mieli nam tu zostawić skrawki gazet, w której było potwierdzenie wiadomości o końcu wojny. Owszem, coś biadało za grudką ziemi, ale było to tylko ptasie piórko. I to miało dla nas jakąś wartość. Jedną z nas schyliła się nieznacznie i tuląc już w garści zdobycz, uśmiechnęła się, nie wiem — radnie czy triumfalnie. To ją zdradziło. Musiała oddać piórko nadzirateliowi.

Maryjka szła ze mną w parze. Raz, dwa razy zrobiła to swoje dziecinne: „hu — hu”, raz krzyknęła boleśnie na widok strażnika, ale czuła się chyba dobrze, bo podskakiwała na cienkich nogach. Kilkakrotnie z pozorami przytomności powiedziała: „nie ma, już wojny”. Nie oddawało to jednak jej stanu ducha, bo westchnęła z głębi serca: „jest powietrze”. W istocie — było powietrze, ciepłe i przejrzyste, dostępną dla nas tylko przez 20 minut spaceru. Wtedy nie po raz pierwszy pomyślałam o tym, co jest tam, za murem, i o innych ludziach, którzy gdzieś są po 10, aby żyć, działać, tworzyć, bić się...

Myśląc tak, miałam złudzenie, że mimo wszystko, nie zatraciłam jeszcze ludzkich cech, że się „wyrwygam” na zewnątrz i że coś wartościowego jeszcze we mnie pozostało: bunt. Myśląc tak, zaklinałam los, aby czym prędzej wrócić do pokornych prośb: „Boże, czy już nigdy inaczej? Czy

Wiedziłam, że wzywają mnie na śledztwo, bo już kilka z naszej celi przeszedł, mimo, że na Zamarystynowie zakończono sprawę. W tamtych warunkach można było wszystko wiedzieć, a nawet napród przewidzieć, ale trudno było opowiadać skurcz serca, które tak szybko poddawało się lękowi. Zanim rozszedł, wola, czy też przekora nastawi bieg krwi, już serce skuli się, stanie się twardą kulką i podeszje do gardła. I potem jeszcze, kiedy już zwolna posłucha rozszadku, woli, przekory — przekazuje swoje lęki ręką, nogom, aby jakiś czas drżały, nie męźnie, zawstydząco.

W tym spłoszeniu, wywołanym ręką z rąk Maryjki. Dopiero później dowiedziałam się, że chciała za mną biec, że mnie wołała, pełna niepokojów o mnie, że rozkładając bezradnie ręce, przekonywała wszystkich, nawet nadzirateli, że „nie ma już wojny”. Nigdy już więcej nie widziałam Maryjki, bo podczas mojej nieobecności zabrano ją z celi, pótulną i grzeszną, aby ją wywieść dokądś, w nieznaną, w niepowrotne.

Szłam przodem. Za mną postępowali żołnierze, czy enkawudziści z karabinem. Niechby i miał „pultmiot” — dla mnie to był bez znaczenia w tej chwili. Szłam przecież ścieżką na przelaj przez szereg przetrześci. Trawka rosła skąpo w dołkach, przetrześci różowały glinę. Pótem zaczęły się domy miasteczka, dwórki w ogródkach, sadach. Na wszystkim leżała jakby warstwa kurzu — na liściach drzew, na dachach, na szychach okien. W głębi jakiegos ogródka stała kobieta, niby jasno ubrana, ale tak samo szara, podobna do kamienniej figury. Była w słońcu, nie ożywiona jego blaskiem. Jedno słowo mojego konwojenta nadało jej ruch ucieczki.

Konwojent był niecierpliw i bezustanku nakazywał mi kierunek, zapędzając na środek jezdni. Mówił: „przamo”, co rozumiał: „opacznie jako: „w prawo”. Po prawej stronie był chodnik, czy zwyczajna wydeptana ścieżka dla pieszych. I znów po bokach trawa, wprawdzie zapyłona, ale bujna. Okna domków zbliżyły się tak bardzo, że mogłam dostrzec ludzi w mieszkaniach i zarzys sprzędów.

Ulica za którymś z dwórków różoworzyła się i nieduży plac targowy dmuchnął

wiatrem i kurzem. Stają tam jedna uboga fura oraz jeden chudy koń pod łubą. Z kamieniczki, która zamykała plac, wyszedł pijany człowiek. Uczyrzą się w szynku, czy w stołówce — nie wiedziałam wtedy, jak się nazywały „lokale” w sowieckich miastach i miasteczkach. Człowiek zataczał się, był czerwony na twarzy, nie patrzył, nie widział. A już napewno nie wiedział, jaką radość sprawił mi sobą. Przypominał przecież o istnieniu — człowieka, nie nosił munduru i był zwyczajnie upity. Odróciłam się i, ucieczona, powiedziałam do żołnierza: „Upił się!” Żołnierz, jak przysłało, zgromił mnie wzrokiem: „Idi w pierd!”

Któżby się za byle co obrażał! Uśmiechałam się, prawie szczęśliwa, że miasteczko, że zakurzona pelargonija na oknie, że dzieci z książkami do szkoły albo ze szkoły. Bose to, obdarte, blade — ale dzieci, ale ciekawie patrzące na mnie, na mój spłowieży fanelowy szlafroczek, na kraj moich warszawskich pantofli.

Żołnierz grubym głosem spędał: dzieci z chodnika na jezdnię. Biegły napród, oglądaly się. Ich spojzenia określały mnie — jako zapowietrzoną, obłąkaną, wrogą. Bez urazy uśmiechałam się do dzieci, które nie miały odwagi oddać mi uśmiechu i podrowienią ręką. Nie miały nawet odwagi obrzucić mnie kamykami, choć w biegu podnosiły je z ziemi. Ucho-dziły pośpiesznie, wkrótce przepadły w szarości ulicy.

Pótem już w istocie trzeba było skręcić na prawo, w inną ulicę. I zaraz po ulicznych deskach, przez furtkę — na ganeczek dwórki i do sionki. Małomejski dworek, choć był teraz biurem NKWD, zachowywał swoje cechy życiwej ludzkości. Pokoiki, gdzie odbywano się śledztwo, był może kiedyś salonikiem albo pokojem panińskim. Kątowy piec malowany w marmurkę, zakwiecona tapeta, karnisz nad oknem — zachowały przyjemny gust dawnych mieszkających dwórku. Być może, nie należało do nich olchowe biurko i szafa z rzeźbionymi secesyjnymi gałązkami, że także tapczan obity pasiastym kotłonym i wypiatlane wiedeńskie krzesła zostały na miejscu, podczas gdy ich właściciele obzywali gdzieś w głąb sowieckich obszarów.

Wtedy, kiedy patrzyłam na te meble, nie wiedziałam jeszcze o „systemie” przemieszczeń. Odczuwałam tylko „głód przedmiotów”, którego dotkliwosć była tak wielka, że nawet wiszące na przeciwnych ścianach dwa portrety Lenina i Stalina — nie budziły we mnie innych uczuć, przez skrupulatnie ciekawości. Lenin, w stroju admirała, miał na rękach białe rękawiczki i siedział w krześle niezdarne, jak garbus. Jego oczy patrzyły mądrze i smutno, unikając zetknięcia się z moimi oczami. Nie patrzył też — ani na mnie, ani na Lenina, ani na nikogo — Stalin, trojs kwarta twarzy i ciała zwrocony na pokój. Miał na sobie cywilne ubranie, śnieżnej białości kciernyżki i granatowy krawat. Pięścią opierał się o stół, na którym leżały jakieś księgi. Jego portret, czterokrotnie większy niż Lenina, mieścił się też w szerzej, dębowej ramie. Był poza tym „ręcznie malowany”, podczas gdy Lenin był tylko kótrwą reprodukcją.

Sędzia śledczy, jasny, młody, postawny, bardzo oficerski — był z siebie zadowolony. Znał dobrze wszystkie sposoby prowadzenia śledztwa, ale nie miał potrzeby zbytnio się wysilać. Mój „dopros” był jedynie uzupełnieniem śledztwa ukończonego już na Zamarystynowie. Szybkie, nekające pytania, czyskanie na nieścisłości odpowiedzi — oto wszystko. W toku przesłuchawania wszedł inny sędzia i odrazu zaczął się na mnie gniewać. Nie dawał wiary ani jednemu mojemu słowu. Był z gatunku tych, którzy ciągle się złością. Miał, czarniawy, przypominają dą muchę. Wreszcie zabrał coś do blondyna i obaj wyszli, zostawiając mnie samą.

Przez chwilę miałam mgłę na oczach. Opuszcza mię bystrość myśli. Byłam po prostu zmęczona śledztwem, które zaw-

(Dokończenie na stronie 9)

Rzym, w lutym 1945 r.

ON

POETA I MISJONARZ

Juliusz Słowacki na

Zima, sporadyczny śnieg i atmosfera Wiecznego Miasta z jego misjonarskimi tradycjami skierowały teraz myśl do punktu szczytowego wędrówki Juliusza Słowackiego na naszym szlaku. Punktem tym był Liban. Zapoznając z wynikiem szperań na ten temat żołnierzy 2. Korpusu, tym bardziej wydawałoby się interesujące, że dla wielu z nich, odbywających tę samą pielgrzymkę w przeciwnym kierunku, sprawy łączy się z wspomnieniami z początkowego punktu ich drogi, mianowicie z Syrii i Libanu. Stamtąd bowiem wyruszyła Brygada Strzelców Karpaccich — najstarsza formacja dzisiejszego 2. Polskiego Korpusu. Tam też później niedługo formacja Armii Polskiej na Wschodzie odbywała solidną zaprawę bojową.

W liście pisanym z Bejrutu do Matki z dnia 17 lutego 1837 r. tak poeta nasz opisywał swe pierwsze wrażenia z Libanu: „Uważam już podróż moją za skończoną prawic. Zwiedziłem Grecję, Egipt, Syrię, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bayrout. Skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, jak piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Więc przez miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bet-chesz-ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne, towarzystwem moim będą zakonnicy ormiańscy, i jeden malarz rzymski, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrii. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszu na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nie raz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis”.

W liście pisanym w dwa dni później dawał:

„Na koniec, przebywszy śnieżny Antyliban, znalazłem się między ruinami przeszłymi Balbeku... Liban także śniegiem pokryty, przejechałem konno szczyt śnieżny. Od wyjazdu mego z Kairu dwa miesiące, jak jestem na siodele, i dobrze mi z tym. Śniegi gór także mnie dalekimi napełniały wspomnieniami. Teraz zjechałem do kraju, w którym najpiękniejsza wiosna: jedne drzewa nie straciły zieleności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały przysną kwiatem, słońce pyszne, słońce jest to prawdziwa ziemia obiecana. Nie wyruszę z niej aż za dwa miesiące. Nie pojedę do Konstantynopola, bo mnie to miasto niewiele interesuje; wolałbym jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów...”

Był to początek trzeciej dekady stycznia, a mimo tak pięknego otoczenia poeta naszego ciągnęło gdzieś w góry, pustkowie, między śniegi i odludzie. Ten 45 dniowy pobyt w klasztorze ormiańskim Bet-chesz-ban miał jednak nie tylko duże znaczenie dla twórczości Słowackiego, ale długi czas był dość zagadkowy i nieznaną, zwłaszcza, że poeta sam mało o nim pozostawił wiadomości. Ograniczył się bowiem do bliższego opisanie jedynie wyjazdu w liście do matki pisanym „Na morzu, dnia 14 czer-

*) Patrz: „Spotkanie z Juliuszem Słowackim w Neopolu” — „Orzeł Biały” R. IV, nr. 17 (107) z 18 IV 1944, str. 4-5 oraz „Juliusz Słowacki w Rzymie” — nr. 27 (117) z 27 VIII 1944 r., str. 7.

wca 1937 r.”, więc w dobre „kilka miesięcy po wyjściu już z tej pustelni”.

„Ostatnie dni mego pobytu w Syrii po rozłączeniu się z Zenonem (Belina-Brzozowski, właściciel ziemski, towarzyszył podróżą na Wschód), który do Konstantynopola ziemią konie kupione prowadził, przepędziłem w klasztorze na gorze Libanu, zwanym Bet-chesz-ban (czyli spoczynek umarłych w języku syriańskim). Miejsce prawdziwie bezładne, klasztor zbudowany na skale, dobry książę ormiański, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie.

„Na dowód jak pozyskałem przyjaciół księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobry ojcowi, zasmuceni, że ich porucam,

dnie całe na dumaniu. Wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z nimi; po arabsku, a przeto wiedziałem, że cały mój arabszczyzny zbytek składał się z 200 wokabul bez spojników i przypadkowych zakończeń.

(Nawiasem wspomnieć wypada, że wśród tych zapisanych w dzienniku podróży pod tyt. „Dykejonariusz Arabski” słów odnajdujemy znane sobie d'wójki: Ent-ty, jalla-rusaj, sawa, sawa-wszystko jedno, zgoda, szuf-patrz, musz lezim-niedobrze i bukra-jutro. Natomiast zamiast kojs-dobrze, mamy tam-tahib, zamiast lachat-jeden, mamy-o, itp. Jest nawet słowo „pusz-pocaiunek, nie ma natomiast nowoarabskiego słowa „dobra” na określenie „żołnierza polskiego”.)



Juliusz Słowacki

dali mi wszelkie prowizje na drogę i wino; lecz kiedy przyszło o stała dźwigającą rzecz jadować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego wydarzenia, bo myślałem, że się zdołam wypowiedzieć od przyjaciół podarunku, lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lejąc, butel aż do Bejrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonale trunk, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włożyć się z nim po świecie, więc go spijam, czyli raczej co niedzielę częstuję nim szczęściu ojców kapucynów, którzy na jednym ze mną okrzęcie wracają z Ziemi świętej i tym sposobem zyskują sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.

„Ale wróćmy do klasztoru libańskiego — ciągnie nasz Don Juliusz. — Przepędziłem

„Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę — pisze Słowacki — abym je brał za pulis, myśląc, że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło. Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i wczogę, ci spokojni zastawili w swych celach. Dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia.

„Nie zapomnę nigdy wrażeń, jakie uczyniło na mnie ostatniego ranka, kiedyś mi obudził, stukanie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich, a ja wyjeżdżałem do Bejrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam.

„Stadiem na koń, przewodnicy i miły z rzeczami szły za mną, potem człowiek z butlem na plecach, i cała krotkochwłność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się: byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym piaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali.

„Dzień Wielkiej Nocy przepędziłem w tym klasztorze i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita, ofiarując mi się za spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania tyle sprawiły, że wypowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Aż kiedy w szarej godzinie poranku ułęknięciem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko od czego mnie potem długie lata oddzieliły... Po skończonym spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: „Idź w pokoju, wiara twoja zbawiła ciebie”.

I jeszcze w widocznym rozczuleniu autor listu dodaje: „W tym klasztorze kilka

razy przyśniła mi się ty, moja droga, i te sny prawdziwie że mnie w jakichś obłąkaniach wprawiały”.

Właściwie to prawie wszystko, jeśli nie dodać jeszcze wzmianki, że:

„Na gorze Libanu przepawałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędrował. Myślałem nawet zamknąć go w butelkę, aby na przypadek rozbięcia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalać. Ale potem mnie jakaś religijna wizja filozofia i myśląc o marności rzeczy światowych, pomyślałem, że jeżeli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun (bog otechłani morskich — przyp. On).”

W liście z Florencji z 3 października 1837 r. dodaje: „Gdybyś ty wiedziała, jak ja na Libanie, w klasztorze nad-chemnym wydobylem cały pakiet listów twoich, z jaką smutną uwagą je podług lat sześćdziesięciu układałem, jak je potem cdeztywałem ze izami nieraz nad tobą i nad sobą”. I w dwa miesiące później 24 listopada, z tegoż miasta, wyrwa mu się jeszcze westchnienie: „Chciałbym jeszcze raz być — na Libanie” — marzenie, które się oczywiście nigdy nie miało sprawdzić. A w dobry rok potem w liście z 19 maja 1938 r. jeszcze nie może opowiadać wzruszenia na wspomnienie tego „dosyć niezabawnego” życia w klasztorze:

„... To dziwne, że ja, co ze izami prawie wyjeżdżałem z Libańskiego klasztoru, gdzie tylko dni czterdzieści jak na pokucie przesiedziały, a takiej, wyjeżdżając, doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić, czuję, że z Florencji bez żadnego żalu wyjadę”.

Wielka musiała być siła nie tyle wrażeń zewnętrznych, jak chyba głównie przeżyć wewnętrznych poety, skoro dany im wyraz słusznie chciał dla świata uratować zamykając w butelce. Nie nad było czym bowiem rozmyślał i nie było jaki utwor tam się jego zrodził. W liście prywatnym pisał ks. arcybiskup Feliński do pani Beaupre:

„Opowiadał mi (Słowacki), że gdy wracając ze Wschodu wiozł ze sobą rękopism Anhellego, to spotkałszy się z burzą na Śródziemnym morzu, o tym jedynie myślał, jak na przypadek rozbięcia się statku, uratować dziecko swego ducha. W tym celu ułożył do butelki próżnej rękopism z listem do swego paryskiego wydawcy i tę opieczętołową przesyłkę miał przy sobie na pokładzie, aby w chwili katastrofy powierzyć ją pieczy burzącej się fali”.

„Nie był to jednak „Anhelli” w tej postaci, w jakiej go znamy, lub raczej znabyliśmy dziś powinni, lecz pierwsza redakcja poematu pt. „Poselenie”, które przetrzebił potem i wykonał dopiero we Florencji w 1838 r. Mniej pewne są wiadomości o pisaniu wówczas „Ojca zadżumionych w El-Arish” i wierszowanej „Podróży na Wschód” pozostawionej w urzykach i do Libańskiego okrętu nie dołączanej. Inne świadectwo na rzecz powstania „Anhellego” w Libanie podaje ks. Ignacy Hołowiński w swej „Pielgrzymce do Ziemi Św.” (Wilno 1842, t. II, str. 210), który również odwiedził klasztor na gorze Bet-chesz-ban:

„Ks. Generał i zakonnicy tego klasztoru rozpowiadali mi, że p. Eugeniusz (tak?) Słowacki przepędził kilka miesięcy (w istocie tylko 45 dni) w tym klasztorze i tu pisał swój poemat Anhella (sic). Nie można zarzucić naszemu poecie wyboru miejsca natchnienia, bo z góry Bercharban (?) rozwiła się widok na różne wertypsy skał i jarów, pokrytych wioskami, klasztorami albo zielonymi ogrodów; z drugiej strony, przy zatoce Dziun, bliższy nieogrodzona płaszczyna morza”.

Przy tej sposobności Henryk Biegeleisen w swym artykule o „Nieznanej dzienniku z podróży do Ziemi Św.” J. Słowackiego *) zaznacza, że „Nie mniej świętym, lubo nie dokończonym piódem tej poboż-

*) „Biblioteka Warszawska” 1906, IV, str. 466-492.



Grobowiec Ludwiki Śniadeckiej w Adampolu

PIELGRZYM W LIBANIE*)

o naszym szlaku (III)

nej wędrowki Juliusza jest poemat zatytułowany „Podróż do Ziemi św. z Neapolu” napisany w r. 1837... a będący komórką zarodkową „Beniowskiego” (p. zwłaszcza pieśni VII, VIII, IX) Podróż ta była w ogóle w życiu Słowackiego doniosłym wypadkiem... (Echa jej znajdują się jeszcze w napisanej w r. 1848 rozprawie pt. „Wykład nauki”).

Taki „doniosły wypadek” w życiu Słowackiego, a tak mało o nim wiemy.

Trzeba zapierać co starych szpagatach, czy zapamiętanych ksiązkach, aby coś nie coś z tych wiadomości razem pozbierać. Węć czymże się więcej w tym klasztorze nasz poeta zajmował? Ktoż to był ten ksiądz, z którym się kilkakrotnie na swojej drodze spotykał i ma na niego taki wpływ. że go do praktykowania nakłaniał? Skąd się wziął ten nieznan Słowackiemu Sybir właśnie w utworze pisanym zdawałoby się pod prawie podzwrotnikowym niebem libańskim? Gdzież są ślady po tych miejscach, którydy przechodził poeta na naszym przecięt szlaku?

Piszącemu nie danym było tak dokładnie przebieg tę samą co Słowacki, drogę od Ziemi św. do Libanu, jak przytrafiło mu się dotychczas pojeść śladami jego in. in. przez Neapol i Rzym. Dotarłszy zaledwie do Bejrutu, zimą z 1943-44 r., mógł jednak zdać sobie sprawę z nastroju, jaki w okolicy panował. Czy to podjeżdżając do miasta z południa przez wąską szosę wijącą się między gęstwiną ogrodów syryjskich, mając po jednej stronie taflę morską a po drugiej pięttrzące się grzbiety gór, czy też z nad zatoki bejruckiej rozglądając się jakby z centrum kotliny półkolem na wschód, mógł objąć oczyma ośnieżone szczyty i stoki strome niczym naszych wysokich Tatr. I tak wpatrując się górę, czuł jak ogarnia go prawdziwie zakopiańska cisza i skupienie. Żłuda ta trwała jednak tylko tyle, póki nie obejrzał się wstecz, by stanąć cko w oko z mieniącą się szafirem i turkusem powierzchnią morza; i tylko już bardziej odległym echem skójarzona z wspomnieniem o ciemnej toni podhalańskich stawów. Z tym krajobrazem przed oczyma pisał poeta w „Anhelim”: „Śnieg stanie się morzem a fala jego zieloną będzie”.

Dopiero gdzieś latem 1944 r. znalazł się przecięt pielgrzym nam współczesny — O. Peregin Malinowski*) — który dotarł do samego krańca podróży Słowackiego po łąkach Lewantu i tak opisując przebyty drogę pomógł nam odbyć ją również „w duchu”:

„Dojechawszy w Bejrucie tramwajem nr 1 poprzez Nahr-Beyrouth (Nahr — rzeka) do końcowej stacji tramwajowej, wkraczamy na szosę, która biegnie równoległe ze starą drogą Fenicjan, łączącą ongiś miasta południowej Fenicji, Tyr i Sydon. ze stolicą Fenicji północnej, Byblus, dziś Dżabjal. Po naszej lewej ręce rozciąga się w ciągu całego czasu podróży błękitna tafla morza. Z prawej posuwamy się wzduż przedwzgórz libańskich, pokrytych niekończącym się prawie łańcuchem kapliczek, kościołów i klasztorów. To rozmodlony Wschód. Tu znajdowali schronienie przesładowani w ciągu wieków przez Turków dzielni wschodni wyznawcy wiary chrześcijańskiej, wśród których wyróżniają się w sposób szczególny maronici, do których górskich siedzib pielgrzymował Słowacki.

W odległości 15 km na północny wschód od Bejrutu przejeżdżamy przez Nahr el Kulb („Rzeka Psa”), dawniejszy Lyeus. Jest to potok spływający z gór Sanninu a wpadający tutaj w morze. Począwszy od XIV w przed Chr. aż po dzień dzisiejszy jest ten strumyk górski bardzo ważnym punktem strategicznym przy wszystkich przedsięwzięciach militarnych, mających na celu zawładnięcie wybrzeżem morskim Libanu. Wszyscy wielcy zdobywcy, którzy zdołali tędy przejść, uwiecznili swe czyny i imiona wyrytymi w skalnych ścianach

*) „Słowacki na Libanie” — „W Drozde” nr. 16 (34) z 16 sierpnia 1944 r. Jerolim, Str. 10.

górskich napisami. Czytamy: Ramzes II, Marcus Aurelius, sultan Solman I, Emir Beszir, Napoleon III, gen. Gouraud itd. Wyobrażamy sobie z jakim wzruszeniem stawał Słowacki przed zastanymi śladami dalekiej przyszłości.

„Dojeżdżamy teraz szybko do miasteczka Dżunieh. Morze tworzy tutaj wspaniałą zatokę, którą Renan zalicza do najpiękniejszych pejzaży świata. W odległości 3 km od miasteczka skręcamy w prawo i pniemy się górkami serpyntynami do dużej wioski zwanej Ghazir. Położona na stosunkowo niewielkiej wysokości, 300 do 400 m nad poziomem morza, odległa od Bejrutu o jakieś 30 km, miejscowość ta była przy końcu ubiegłego stulecia jedynym prawie miejscem wypoczynku letniego dla

zachowało się więcej wspomnień po tym Polaku zagubionym jak wówczas kilku innych jego rodaków, na Lewancie. Nim kto też luki nie zapełni, trzeba będzie pozostać na zagładaniu do rozproszonych po biografiami poety relacji, które nie tylko przyniosą nam jeszcze trochę szczegółów o rozmowach i przeżyciach poety, ale nawet i o smach jego własnych na Libanie.

Ferdynand Hoiesick pisze więc:*) „Na szczęście brak... ciepła rodzinnego nie dał mi się prawie uczuć i tutaj w Libanie, od pierwszej chwili bowiem, jak zamieszkał w klasztorze, potrafił sobie do tego stopnia zaskarbić od razu sympatię zakonników, że o serdeczniejszej atmosferze w podobnych warunkach marzyć po prostu było trudno. W rozmowach swoich z nimi,



Ks. Maksymilian Rytko, T. J.

zamożniejszych rodzin bejruckich, jak również dla przebywających na wybrzeżu Europejskich. W tym to zakątku Libanu, z którym wiąże się także podania o bóżku Adonisie i gdzie w latach szeszedziesiątych ubiegłego wieku będzie autor „Wyprawy Fenickiej” pisał swój „Żywot Chrystusa” (Renan), rozbił Słowacki swój namiot pielgrzyma. Nie zatrzymał się jednak na samym Ghazirze. Poszedł dalej w górę.

„Wspiąwszy się zatem na szczyt stoku, na którego ścianach zawisła wioska Ghazir, stajemy przed rozciągającą się u naszych stóp głęboką doliną, pełną odwiecznych głazów i kamieni”. Na szczycie przeciwległej ściany tej doliny widnieje klasztor; klasztor, jak wszystkie inne rozsiane po Libanie, w formie prostokąta, wzniesiony z prostokątnych, ciosanych kamieni. To — Deir Mar Tannios, to znaczy klasztor pod wezwaniem św. Antoniego (Padewskiego), ongiś za czasów Słowackiego, będący w posiadaniu mnichów ormiańskich, a zwany popolicie w gwarze ludowej od pobliskiej wioszczyny: Beit-Chasz-Ban. co w dosłownym przekładzie z arabskiego znaczy: dom wśród drzew.*)

„Tutaj zatrzymał się Słowacki. Dziś klasztor ten stoi prawie pustką. Z jego tarasu rozciąga się wspaniały widok na wspomnianą Zatokę Dżunską oraz na wrzynający się półwysp bejrucki...”

Nikt ze współczesnych — o ile nam wiadomo — nie podał więcej szczegółów o tym, jak dziś wyglądała ta chwila siedziba naszego poety, a zwłaszcza, czy wewnątrz klasztoru, lub w jego kronikach nie

*) Według innej, mniej przyjętej wersji, pochodził Chaszbau od słowa syryjskiego Haszau, męki agonii; stąd tłumaczy Słowacki, w parafrazie oczywiście, Beit haszban jako „spoczynek umarłych”. (Przyp.— O.P.M.).

Wreszcie Hoiesick podaje i sen Słowackiego według relacji współczesnej:

„Ktoregoś dnia, powiada, miał o niej (Ludce, przyszłej żonie Sadyka Paszy) nawet sen dziwny. Oto zdawało mu się, że usta jej składają na czoło jego pierwszy pocatek. Zbudziwszy się, ponieważ księżdy byli blisko, uważał za stosowne wypowiedzieć się z tego „grzechu pamięci”, po czym wyszedłszy na jedną z najwyższych skał, rzucił Dulcyniei „ogromne przekleństwo”, a wracając stamtąd, śmiał się sam do siebie i litował, że jest taki „smutny wariat”.

W tym to otoczeniu, na tym tle, powstaje zarys „Anheligo”... postacią nadając imiona wzięte z tego biblijnego kraju, wiadomości o Syberii... jak później wykazano, z „Dziennika” sybiraka — Józefa Kocpia, — wydane go później w Berlinie w 1863 r., ale reszcie akcesorii, jużż już chyba żywcem z... Libanu. I gwiazdy, i śniegi, i jabłkowe drzewo i nawet sama data Wielkiejnocy, od której się „Anhelim” zaczyna, a z nad morza—mewy. Nie tylko więc Mickiewicz czerpał porównania do „Ustęp” do III części „Dziadów” pt. „Droga do Rosji” z pod Canony niedaleko Aleksandrii, gdzie trafiły się i ham-siny, i burze piaskowe, i skorpiony.*). Również i Słowacki obraz swe malował na kanwie otaczającej go przyrody libańskiej, choć już nie o Rosję, ale jeszcze dalszą Syberię chodziło. Nie pierwsze to i z wszelką pewnością nie ostatnie w literaturze i poezji polskiej — skojarzenia północny z południem, Rosją z Lewantem, dziś Bliskim lub wręcz Środkowym Wschodem zwanym.

Tu za Biegeleisenem**) przytacza zapisane w „rapularzu” podróżnym następujące legendy:

*) „Życie Juliusza Słowackiego — na tle współczesnej epoki” Kraków 1897 t. II.

**) „Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód”, „Biblioteka Warszawska” t. IV Warszawa 1891 str. 336-353.



Pejzaż górski — Rysunek Juliusza Słowackiego

„Mnich opowiada mi legendę o pewnej Marii Hiszpance, która zakochała się w diable, dla niego napród wyrzekła się Chrystusa, lecz kiedy prosił kohanek, aby odmieniła swoje imię chrzestne, nie chciała na to zezwolić. Nareszcie po długich naleganiach diabła, zezwoliła na odjęcie ostatniej litery i została Mari, potem na drugie prosby, jeszcze mu jedną literę oddała, aż na koniec zostało jej tylko M i nazywała się Ema. Ta dziewczyna, znajdując się na tragedii Świętej Kalderona, krzyknęła głośno z rozczulenia i diabeł rzucił ją w powietrze”.

„Następuje potem legenda o rybakach na Libanie skamieniałych, które Chrystus sam u rybaków chciał dostać, gdy mu odpowiedzieli, że to są kamienie, istotnie w kamienie przemienili”, wreszcie „legenda o Marii, która mając się za młodą, żyła w grocie pomiędzy pustelnikami Libanu, i raz przez kobietę nierządzą oskarżoną, że była ojcem syna tej kobiety, za karę musiała tego syna, jak swojego, wychowywać i żywić z jałmużny; dopiero śmierć odkryła, że grzechu popełnić nie mogła, o który ją oskarżono, i uznana za świętą...”

Słowacki zabawił się też i astronomią: „Z klasztoru Beit-chesz-ban... obserwował niebo gwiaździste, a jedną taką konstelację gwiazd naszkicował w dzienniku z napisem: „Niebo widziane w Beit-chesz-ban, dnia 29 marca 1837 r. o godz. 8 (wieczorem)”. (Wielkanoc była w tym roku 26 marca — przyp. On.). Podobne notatki czynił nieraz w życiu.

Wreszcie Hoiesick podaje i sen Słowackiego według relacji współczesnej:

„Ktoregoś dnia, powiada, miał o niej (Ludce, przyszłej żonie Sadyka Paszy) nawet sen dziwny. Oto zdawało mu się, że usta jej składają na czoło jego pierwszy pocatek. Zbudziwszy się, ponieważ księżdy byli blisko, uważał za stosowne wypowiedzieć się z tego „grzechu pamięci”, po czym wyszedłszy na jedną z najwyższych skał, rzucił Dulcyniei „ogromne przekleństwo”, a wracając stamtąd, śmiał się sam do siebie i litował, że jest taki „smutny wariat”.

W tym to otoczeniu, na tym tle, powstaje zarys „Anheligo”... postacią nadając imiona wzięte z tego biblijnego kraju, wiadomości o Syberii... jak później wykazano, z „Dziennika” sybiraka — Józefa Kocpia, — wydane go później w Berlinie w 1863 r., ale reszcie akcesorii, jużż już chyba żywcem z... Libanu. I gwiazdy, i śniegi, i jabłkowe drzewo i nawet sama data Wielkiejnocy, od której się „Anhelim” zaczyna, a z nad morza—mewy. Nie tylko więc Mickiewicz czerpał porównania do „Ustęp” do III części „Dziadów” pt. „Droga do Rosji” z pod Canony niedaleko Aleksandrii, gdzie trafiły się i ham-siny, i burze piaskowe, i skorpiony.*). Również i Słowacki obraz swe malował na kanwie otaczającej go przyrody libańskiej, choć już nie o Rosję, ale jeszcze dalszą Syberię chodziło. Nie pierwsze to i z wszelką pewnością nie ostatnie w literaturze i poezji polskiej — skojarzenia północny z południem, Rosją z Lewantem, dziś Bliskim lub wręcz Środkowym Wschodem zwanym.

On

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) „Literacka łamigłówka — Mickiewicz o Libii w... Dziadach”, „Orzeł Biały” nr 3 (42) z 17. I 1943 r. str. 7.

„BOLSZEWIZM I RELIGIA”

Książka Władysława Kania*) ukazując się w chwili, w której potrzeba takiej publikacji stała się już wprost palącą. Bolszewizm zainstancjował — z udziałem patriarchy aleksandryjskiego — synod i wybór głowy cerkwi rosyjskiej w Moskwie. W okupowanej przez nich Polsce pokują na każdym kroku nabożeństwa i książki. Puzyskali w Jugosławii wybitnych prajatorów do współpracy ze swoimi agentami miejscowymi. W Świecie protestanciem roj sję od clergymanów duszą i ciałem oddanych „demokratycznej, humanitarnej i zbliżonej do chrześcijaństwa” Partii Komunistycznej. Nawet tu, w Rzymie, powstało stronnictwo „Lewicowych Chrześcijan”, które, sądząc po stanowisku zajętym wobec Polski, jest jedną więcej agendurą sowiecką. Propaganda bolszewicka stara się wzmocnić Europie i Świata, że bolszewizm nie jest wrogi religii.

Książka Kania zadaje temu twierdzeniu kłam. W części teoretycznej wykazuje, na jakich zasadach opiera się współczesny bolszewizm i jakie jest jego stanowisko względem religii. Wyjaśnia w szczególności, co znaczy owa „prywatność” religii i „neutralność” wobec niej państwa, ogłoszona przez rosyjskich marksistów. W oparciu o najnowsze oświadczenia Stalina wykazuje niezbicie, że partia nie uważa się za neutralną wobec religii, ale za organ walki z nią aż do zniszczenia. A że partia wykonuje w Sowietach dyktaturę, państwo nie jest neutralne.

Stąd konstytucja sowiecka pozwala wprawdzie na kult religijny, ale już nie na nauczanie religii. A praktyka sowiecka zabrania nawet modlitwy: jest w Sowietach na 160 milionów obywateli, mniej niż 20 świątyni, przechowywanych na pokaz, do użytku propagandy dla zagranicy. Religia jest w Sowietach przesładowana, jak nią nie była dotąd nigdy i nigdzie w dziejach, systematycznie, naukowo, okrutnie.

Kania nie ogranicza się do stwierdzenia teoretycznych założeń i zasad praktyki rosyjskiej. Daje obszerną dokumentację, za czerpiącą z zeznań Europejczyków, którzy w Sowietach byli i mieli możność obserwować rzeczywistość bolszewicką wszechstronnie, z wzięcia i jagru, z kółchoz i fabryki, z urzędu, prasy, w rozmowach z inteligentami, robotnikami fabrycznymi i właścicielstwem. Ta część dokumentacyjna, robi wstrząsające wrażenie. Strzelanie do kościołów, profanacja świątyni, systematyczne szerzenie bluźnierstwa i deprawacja religijna dzieci, to tylko kilka nagłówków, dających słabe pojęcie o grozie rzeczywistości. Trzeba przeczytać także np. rozdział o „szukaniu Boga”, nócnej rewizji przed świątami wielkopostnymi, w poszukiwaniu niedalików religijnych, i o sposobie obchodzenia się z nimi przez bolszewików, aby zdać sobie sprawę, z czym mamy w Sowietach do czynienia.

Jedno słowo określa postawę bolszewików do religii: nienawiść. Ciłboka, zaciekła, żądna zniszczenia nienawiść. Ta nienawiść jest tem całej książki Kania: przeciera z każdego paragrafu prawa, skądinąd na ciężkie roboty za nauczanie katechizmu, bieżące plakatów propagandy antyreligijnej, brzmienie w bluźnierstwach i zloczynach bezustannie w twarz ludziom wierzącym i w odgłosie razów, które spadają na głowę człowieka za to, że wierzy w Boga, za jedną modlitwę, za posiadanie przedmiotu kultu. Nienawiść ogromna, nie różniąca chrześcijanina, żyda i muzułmanina — powszechna, gorąca i wściekła. Postawa bolszewików, to nie zwykły sceptycyzm naszych materialistów, to nie subtelna złośliwość i niechęć Woltera; to dziki, emocjonalny odruch głębi duszy rosyjskiej, zbuntowanej przeciw Bogu.

Książka Kania te właśnie nienawiść ku religii stwierdza w sposób, który najbardziej nawet zaślepionym Europejczykom nie powinien pozostawić złudzeń. Naukowo, spokojnie i wnikliwie analizuje szczegóły, aby zebrać je w jeden wielki fakt —

fakt bolszewickiej nienawiści ku religii i Bogu.

Ten fakt jest także problematem. Każdy, kto tę książkę czytał, musi sobie zadać pytanie, jak mogło dojść do takiego stanu i jakie są źródła, z których bolszewicka postawa wobec religii pochodzi. Kania daje i na to pytanie odpowiedź. Według niego, bolszewizm jest sam dynamiczną, nieolewającą pseudo-religią materii i rewolucji. Bolszewizm to nie tylko system filozoficzny, pogląd na rozwój społeczeństwa i teoria rewolucji społecznej — to przede wszystkim mistyczna, bezkompromisowa religia współczesnych Moskaii. W imię tej religii właśnie idą oni dzisiaj zbrojni w amerykańskie czołgi i działa na rzecz „gaurów” wierzących w Boga, aby na gruzach ich wiary osadził swoją religię materii, dyktatury i maszyny.

Zadałem sobie ostatnio trud przyjrzenia się źródłom tej pseudo-religii bolszewickiej, jak ją nazywa Kania. Jest takich źródeł trzy — najzupełniej różnych, nie mających z sobą nic wspólnego, a przecież w duszy rosyjskiej zespolonych dzisiaj w całość, która na zewnątrz wywołuje wrażenie monolitu.

Jest więc w bolszewizmie najpierw podstawa materialistyczna — przekonanie, że świat jest w swojej istocie materialny, że Boga nie ma, a duch ludzki jest, jak mówi Lenin, „kopii, fotografia, odbitek, obrazem materii”. Nietrudno stwierdzić, skąd się ten pogląd w ich filozofii wziął. Marx, główny dla bolszewików autorytet, działał zaczął około roku 1840, w którym myśli niemieckie, żrzące fantazjami heglizmowi zwróciła się z całą siłą ku skrajnemu materializmowi. Jak dalece ten materializm opanował kłak naukowe w Niemczech w tym czasie, niech świadczy słynne zajście roku 1854 w Getyndze. Przemawiał tam na zjeździe przyrodników filozof Rudolf Wagner, który ośmielił się mówić o hipotezie ducha i cytować jakieś zdanie z Biblii. Wystąpienie to wywołało skandal, jakich mało znamy w dziejach towarzyszy uczonej. Niemiecka nauka wrzła wprost z oburzenia na „zacołanego śmialka” — i kiedy znany materialista Vogt odpowiadał swoją książką o „Wierze wglądu i naukach przyrodniczych” rzecz została przyjęta przez wszystkich z ulgą i entuzjazmem.

Trudno się było zresztą niemieckim uczonym tych czasów dziwić. Cała nauka jednym głosem zdawała się popierać „materializm. Filozofia idealistyczna była do reszły skompromitowana. Panowały fantastyczne przekonania o wszechwładzy i absolutnej pewności nauk przyrodniczych. Logika przechodziła jeden z najgorzejzych okresów swoich dziejów. Myśl religijna była w upadku: katolicyzm nie był jużdyj jeszcze wyłeczny się z ran zadawanych mu bez ustanku od czasów reformacji, stracił język, odgrządał już od własnej wielkiej tradycji; protestantyzm brnął coraz głębiej w tępy racjonalizm. W dodatku nauka zaczynała wydawać Techniki, i zapowiadać stworzenie rajy na ziemi. Nie można się dziwić, że ludzie tych czasów byli materialistami i wrogami religii.

Żyćce Marxa wypadło właśnie w tych czasach. Przeczył Manifest Komunistyczny wyszedł w r. 1848, w dwa lata przed „Social Statics” Spencera, w sześć lat przed skandalem w Getyndze. Kapitał (tom I) pojawił się w 1867, w cztery lata po głównej pracy Vogta, a w osiem po „Origin of Species” Darwina. Zaczynając swoją karierę Marx był naprawdę prekursorem powodzi materialistycznej, która miała zalać myśli europejskiej w okresie jego dojrzałości. Trudno się dziwić, że jego myśli były tak antyreligijne.

Otóż bolszewicy wzięli Marxa i współczesnego mu Engelsa za podstawę i „autorytet” w sensie wczesnych scholastyków, literalnie. Jedną z rzeczy uderzających przy studium orłodokji bolszewickiej jest luka istniejąca między pierwszą a drugą parą bolszewickich autorytetów: Marxa i Engelsa już nie żył, gdy Lenin i Stalin zaczęli dopiero czytać ich dzieła. Nie bacząc na to, co się tymczasem stało, nie widząc, że świat poszedł na-

przód, że powstała — odradzająca się od 1870 — nowa filozofia, że nauka zmieniała niemal całkowicie ewoje oblicze, że myśl religijna zaczęła nabierać głębi i znaczenia, nie przyjmując do wiadomości niczego z nowoczesnej filozofii religii — Lenin, a za nim Stalin przejęli dosłownie naukę zacołanego materializmu z połowy XIX wieku i podali ją za dogmat do wkręcenia masom.

Ale sam materializm, nawet ten wojujący Vogta Moleschotta, Haecckla i innych Europejczyków, nie tłumaczy jeszcze nienawiści bolszewików ku religii. W ich postawie wyzuwa się coś więcej — jakiś dynamizm, który z materializmem nie może mieć wiele wspólnego. Bo przyrodniczy materializm jest zimną i suchą teorią, wypraną z wszelkich wartości, a więc i z wszelkich nakazów działania: uczy jak jest, nie jak ma być. Słowo „powinność” nie ma w przyrodniczym materializmie sensu.

To też materializm bolszewicki: nie jest materializmem przyrodniczym w europejskim słowa znaczeniu, ale nosi nazwę „dialektycznego”. Zestawienie słów jest: pozbowane sensu — jako że dialektyka mówiwa jest tylko w myśli nie w materii, w duchu, nie w przyrodzie. Mimo to i ten „dialektyczny” czynnik w bolszewizmie istnieje. Stanowi on o stronie etycznej całego ruchu. Wziął się w nim z młodych lat Marxa, który był przeciętnym uczniem Hegla, członkiem heglowskiej lewicy — a obok i przez Hegla także uczniem Fichtego. Tędy wiąże się bolszewizm z romantyzmem niemieckim, dynamicznym, rewolucyjnym — tym o mierzniu sił na zamary — tym od Herdera, który mawiał, że gdyby Bóg dał mu wybór między całą prawdą a wiecznym jej szukaniem bez nadziei znalezienia, wybrałby to drugie. Stąd płynie bolszewicka etyka, surowy nakaz walki i niszczenia wszystkiego, co sprzeczne z materializmem. Sam materializm byłby bezsilny ale materializm dialektyczny, choć bezsensowno kojarzy etykę z materią, daje systemowi gorący, etyczny nakaz mordowania. Dzięki niemu stosunek bolszewików do religii nie jest tylko czynnyą obojętnością i niechęcią, ale czynną postawą nieprzyjaźni i przesładowców.

Tylko, że nawet romantyzm tkwiący u podstaw dialektycznego materializmu nie wyjaśnia jeszcze dostatecznie nienawiści, z jaką mamy tutaj do czynienia. To co bolszewicy piszą i mówią o religii, a zwłaszcza to co z ludźmi wierzącymi, z świątyniami i przedmiotami, kultu czynią, należy do wyższego jeszcze niż etyczny porządek. Etyka nakazuje zachowanie norm moralnych i poleca nakładać kary; nie może sama żądać ani miłości, ani nienawiści. A bolszewicy religię nienawidzą, z całego serca i ze wszystkich sił. Ich postawa wobec religii jest religijna.

Tę ostatnią cechę zawdzięcza bolszewizm specyficznym właściwościom duszy rosyjskiej, która od europejskiej różni się przede wszystkim większą skrajnością, i głębszą religijnością. Rosjanin wszystkie zagadnienia rozpatruje stale pod religijnym kątem widzenia, a kiedy jest w dziedzinie religii, nie stać go już na umiar, na obojętność — staje się odrzuca fanatyczny, okrutny i konsekwentny do końca.

Kania doskonale ilustruje tę właśnie stronę bolszewickiej walki z religią. Rosyjska, zawsze oparowana przez mesjanistyczne ideały, zalaną w bolszewizmie po prostu nowe mesjanistyczne hasło, pod którym może, spokojna w sumieniu, iść na podobój swata. Bolszewizm nie jest tylko filozofią — jest mistyczną pseudo-religią rosyjską, jest dla mas sowieckich namiastką religii, i podstawą ideologiczną imperialistycznej. Tę samą myśl rozwiniął w swoich wnikliwych i dla bolszewizmu sympatycznych pracach pisarz rosyjski, Berdajew. Wykazuje on, jak prąd rewolucyjny rosyjski tworzył się i wywodził z mistycznych mrówek duszy rosyjskiego ludu. Jak na dzień najbardziej ateistycznej postawy nihilistów, „narodników”, młodości i w końcu komunistów tkwią chrześcijańskie poglądy na konieczność

poświęcenia się dla sprawy. Tylko, że sprawą tą przestał być u nich człowiek: jest nią społeczeństwo-maszyna, mające samego człowieka wychować przez produkcję fabryczną, a w międzyczasie poświęcające go dla rozwoju socjalistycznego państwa. A równocześnie sprawą, dla której idealny bolszewik ma się poświęcać i poświęcać innych, jest walka z Bogiem. pojtyjm jako fetysz kapitalistów do wyzyskiwania klas upodlegzonych.

Dopiero przez połączenie tych trzech czynników powstał współczesny bolszewizm. Jego bazą stanowi głównie i zacołany materializm z połowy XIX wieku. Dynamiczny charakter i cechy etyczne wnoszą do systemu jego związek z romantyzmem niemieckim. Wreszcie dusza rosyjska nadała całości charakter pseudo-religijny, sublimując suche tezy materializmu i postawę romantycznej rewolucji do wyżyn sektarskiej nienawiści ku religii.

Jakże śmiesznie wyglądają w oczach ludu eurazjatyckich, ciągnących pod tym sztandarem na powstałe Europy, ci spośród nas, którzy doszukują się w bolszewizmie podobieństw, sympatycznych stron, wspólnych platform działania — którzy myślą, że przekonują i poprawiają bolszewików, że ich nawracają! Może książka Kania ich otrzeźwi i da im zrozumienie z czym przychodzi, nam stanąć oko w oko, do walki. Bo walka jest w tych warunkach nieuchronna: mamy przed sobą nie przypadkową taktikę polityczną, która mogłaby ulec zmianie, nie tylko apetyty teoretyczne na takie czy inne dzienne świątecznych krajów, ale wielki, pseudo-religijny ruch, który z fantastyczną siłą przeznarząd, aby na ruinach naszej wiary osadzić zwycięsko własną.

Ta wiara wzuła jest z wszystkich cech właściwych nie tylko chrześcijaństwu, ale każdej religii wyższej: nie ma w niej Boga, nie ma śladu nauki o miłości i poszanowania godności człowieka, nie ma mowy o bezwzględnych prawach moralnych. Skrajnie materialistyczna, anty-personalistyczna i utyliitarystyczna — postawa bolszewicka zachowała z religii tylko emocjonalną formę. Ta forma daje jej własną siłę i sprawą, że przeciwstawia się tej może nie łatwizna politycznych kombinacji, oparta na sceptycyzmie, ale wyjątkowo, autentyczna, emocjonalnie ludzi biorąca religia.

Te są wnioski, jakie czytanie książki Kania nasunąć musi każdemu myślicielu czytelnikowi. Pierwszy, że nie może być mowy o kompromisie. Drugi, że warunkem powodzenia w walce, jest wzbudzenie u nas autentycznej, gorącej i wielkiej religii. Ludzie, którzy myślą kompromisami zastąpić brak wiary, nie wiedzą co czynią.

Jeśli wolno zakochać wypowiedzenie osobistego wrażenia, powiem, że książka Kania i inna literatura o Sowietach wywołuje na mnie mimo wszystko poczucie: jest to literatura ta do wrodzi straszliwego zacołania i tępy tyranoł sowieckich. Idee, na których się opiera, należą do ubiegłego wieku. Tworzą zwrócenie się mimo wszystko co mówią, w przeszłość, nawet ich polemiki ideologiczne skierowane są stale przeciw ludzom dawno w myśli naszej umarłym, przeciw Berkeleyowi i Machowi. Ich antyreligijna postawa jest, między innymi, zupełnym anachronizmem. Ich system społeczny jest bardziej zacołany od najbardziej zacołanych w nas.

Ich nauka potępia uporczywie wielkie zdobycze nowoczesnej fizyki. Wszystko to razem cuchnie trupem. Sowiety dzisiaj są wielką siłą, także ideologiczną, bo nowa myśl europejska i odrzucenie religii nie zdążyło jeszcze dotrzeć do mas. Ale tak, jak poglądy materialistów XIX wieku znajdują dziś u nich i nawet u nas ogromne echo — tak zwyciężył mus, w myśli ludzkiej umarły, bardziej duchowy i ludzki obraz rzeczywistości, wypracowany na początku wieku, w którym żyjemy.

Przyszłość jest nasza, nie ich. Trzeba tylko nie dać się zwieść kłamliwym pozorom i umieć znaleźć wiary. Jeśli o mnie chodzi, nie mam wątpliwości, że stanie się jedno i drugie.

*) Władysław Kania „Bolszewizm i religia” Rzym 1945. Cena za egz. 55 łrów.

WZCZYMIEZ POPŁAWSKI

„Komu może wadzić Estonia?”

Wejścia sowieckie są na terytoriach trzech państw bałtyckich.

Po raz drugi po przez bratnie Polskę kraje bałtyckie przeszła krwawa wojna, groziła swą i hałasem propagandy przysła- najaką tragiczną prawdę tych narodów, tak bardzo w wolności rozkochanych.

W lipcu 1939 r. przyjechała do Tallina z Francji księżna Marina Pietrowna Gohcyna, córka rodzonego brata cesarza Wschodniej Aleksandra III i jedna z najbliższych kuzynek zamordowanego cara Mikołaja II. „Wszystko wskazuje na to, że Europa znów... oszaleje!” — powiedziała uśmiechając się rączek nieśmiało. — „Myślę, że tu będzie najspokojniej. Komu może wadzić Estonia?”. I zamieszkała w zgrabnym w brzozech „osobniku” w po- granicznym Petseri, skąd — w dni pogodne przez dobrą lornetkę widac było wieże Pskowa. Gdynin opowiadał o tej rozmowie z księżną koledeż z doskonałego dziennika tallińskiego „Paewaleht”, dziennikarz kręcił głowę. W jego piśmie i we wszystkich pismach krajów bałtyckich pełno było o moskiewskiej konferencji Wielkiej Brytanii, Francji i ZSRR. Zgodzili się, że księżna jest sympatycznie optymistką.

Latem dojechała niezwykłym żarem. Noco jarzyły się gwiazdami i pachniały morską słonizną. Dni omdlewały w słońcu. Estowie dziwili się, że mimo to — nie zjeżdżają do Eesti Vabariiki zapowiadani cu dzoziemscy turyści, i — Bogiem a prawdą — podobnie jak sędziwa księżna, ufali, że może jednak wojna ich ominie...

Ludzi się tym Łotysze; tylko Litwini, wopchnięci między Rzeczę, rozdygotaną wojenną wrzawą, a zdeterminowaną, w Grunwald wpatrzoną Polskę — raczej dalecy byli od złudzeń. Z wczoraj zagarnięty Kłajpedy szły do Kowna czarne wieści. Gestapo oczywiście „wykrętało” przygotowania do litewskich „zamachów teroryzycznych” w „Memellandzie”, likwidowało szkoły, chłopców z organizacji młodzieży „Sanitary”. Typiło bezlitośnie wszystko, co litewskie. Również stare, przędzone krzyże żmudzkie. Kowno czuła wojnę.

Łotewska urzędowa „Brīva Zemce” z 4 lipca polemizowała ostro z artykułem Zdánowa w „moskiewskiej „Prawdzie”. Pisał publicysta łotewski: „Cóż może dać nam gwarancja państw trzecich? Gwarancji dzisiaj nikt nie szuka, bowiem najpoważniejsza gwarancja — statut Ligi Narodów — zbankrutowała bez reszty. Przykład Absyni, Austrii, Czechosłowa, Albanii, Kłajpedy, bankructwo to potwierdza chyba dostatecznie przekonywująco. Nam pozostała wobec tego jedna droga — droga polityki neutralności, którą, jeśli tylko zechcą wszystkie państwa ją uznać, będzie dla nas najlepszą gwarancją!”.

W tym samym czasie Helsinkii sygnalizowały wielką niespodziankę dla wszystkich tych, którzy bredzili o rosnących wpływach faszystowskich w Finlandii. Wybory do parlamentu fińskiego przyniosły druzgoczącą klęskę właśnie... faszystowskiej partii fińskiej IKL. Zamiast 20 przednich 14 mandatów, otrzymywała tylko 7.

Tuba estońskiego MSZ — „The Baltic Times” publikował wywiad swego redaktora z posłem R. P. w Tallinie.

„Czy Polska uważa całość i niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii, w ich obecnych granicach, za swój interes życiowy?” zapytywał dziennikarz.

„Bezwarunkowo, tak!” — odpowiedział min. Przesmycki.

Niemcy sondowali. Rządy trzech republik bałtyckich otrzymały niespodzianie propozycję powołania do życia Instytutu Współpracy niemiecko-bałtyckiej. Odpowiedziano odmownie. Kowieński „XX Amzius” pisał 7 lipca jaknajszczerzej: „... nam ten choć Trojański „made in Germany” zupełnie nie jest do szczęścia potrzebny”, „XX Amzius” był organem litewskich katolików.

Wrócił z parotygodniowej wycieczki po Polsce do Tallina dziennikarz estoński. Ze spał dzienników wyrastają spokojna,

rzeczowa ocena Polski nowej, rosnącej i imponującej.

W przyjemnej, letniej rezydencji estońskiego syndykata dziennikarzy paru młodych dziennikarzy polskich dniami i nocami cementowało w rozmaitości, najczęściej przyjemny sposób, „entente cordiale” polsko-estońską.

Kowieńskie „Lietuvos Zinios” zapowiadało wycieczkę literatów litewskich do Krzemieńca, na uroczystości Pana Juliusza. Był wszakże dopiero lipiec i nikt w Krzemieńcu nie myślał o... MSZ i niemieckich Heinklach.

„Uwaga całej Polski skierowana jest na armię i jej dobrobycie”, pisał łotewski „Rīts” 8 lipca. A tegoż dnia, w Tallinie

„Uus Eesti” stwierdzała, że narzucana w Moskwie pomoc państwom bałtyckim, wbrew ich życzeniom nie jest pomocą, a — zwykłą napaścią.

Wpłynął do tallińskiego portu, z wizytą oficjalną, okręt niemieckiej marynarki wojennej „Admiral Hipper”. Ludzie wzruszali ramionami, widząc w kawiarniach i restauracjach ich miasta apetyty niemieckich „matrosów”. Prasa, poza „Revalische Zeitung”, napisała o wizycie tylko tyle, co — dla przyzwoitości — napisać musiała. Niemcy, w biały dzień henteinowskich północach, fetowali przybywszy z Vaterlandu, młode Niemki czekały zmrzoku. Ale ludzie estoński — dalej patrzyli wkiem. Kiedy po tygodniu „Admiral Hipper” wy-

płynął, w ewangelickim szpitalu pozostało 3-ch ciężko rannych marynarzy. Lżej ranni odpłynęli... To był widomy rachunek „przyjaźni” estońsko-niemieckiej.

Inaczej było z chłopakami „Daru Pomorza”. Najzupełniej inaczej.

I znów „Paewaleht” pisał: „Żądania ZSRR na temat gwarancji dla państw bałtyckich bynajmniej nie oznaczają chęci przeciwstawienia się ewentualnej agresji Niemiec. Idzie tu o zupełnie coś innego, a mianowicie — o przygotowanie terenu do napaści na państwa bałtyckie pod pretekstem konieczności obrony ich przed niebezpieczeństwem niemieckim. Dla tych zamierzeń Związek Radziecki pragnie uzyskać zgodę dwu wielkich mocarstw zachodnio-europejskich, tyczeń mocarstw, które położyły największe usługi na odcinku pomocy dla uzyskania niepodległości przez państwa bałtyckie. Tego już za dużo. Imperializm rosyjski znówu daje znać o sobie. Nie zerka już w stronę Wschodu, zresztą uzbrojonego po zęby, ale bezczelnie sięga na Zachód, podobnie jak dwadzieścia lat temu, pragnąc zapanować niepodzielnie na Morzu Bałtyckim!”.

Tak pisał „Paewaleht” dn. 12 lipca 1939 r. A po paru dniach znówu alarmował: „Bądźmy gotowi i nie zapominajmy, że w Europie istnieje dzisiaj oprócz niebezpieczeństwa niemieckiego, również niebezpieczeństwo sowieckie!”.

Przed starym hotelem „Petersburg” w Rydze tłumy cierpliwie czekały, by zobaczyć pierwszego tu króla-wygnawcę Ahmeda Zogu. Ex-monarcha albański wędrował na emigrację. Łotewski szef protokółu zaproponował apartamenty w najelegantszym hotelu Rygi — „Roma”. Ale król miał kiepskie wspomnienia z Romy...

Do Parnu, czarującego kąpieliska Estonii, przyjechał generał major armii brytyjskiej Burt... aż zachłysną się nadzieją Estonia. Burt! Starsi go pamiętali. W 1919 r. należał do alianckiej misji wojskowej w Estonii i Litwie.

„Może i tym razem... — mówili mi starzy oficerowie estoński, obciągając pedantycznie „frenceze” brytyjskiego kroju.

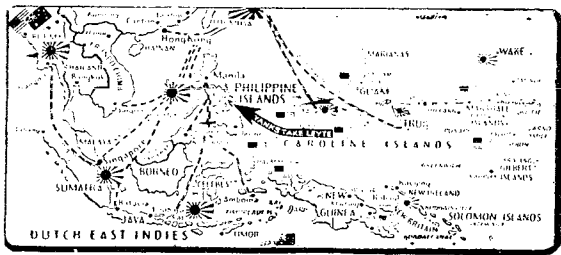
„U was gen. Ironside, a u nas gen. Burt. A jednak Anglia o nas nie zapomina...”.

MunTERS, przyśtoiny i zdolny szef łotewskiego Foreign Office, zdecydował uro- letni spędzić na... pieszej wędrowce po łotwie, w asyście swych najbliższych współpracowników. Jako wódz naczelnego estońskiej armii gen. Laidoner, wyjechał 20 lipca na inspekcję wyspy Saarama. Tego samego dnia jego kolega łotewski, gen. Balodis, oglądał w poselstwie sowieckim w Rydze nowy film sowiecki „Aleksander Newski”, słuchając po tym, przy lamper wina, jak „płopred” Zotow prawi komplementa pięknej pani Balodis.

„Odcieście Gdańska od Polski” byłoby katastrofą ekonomiczną dla samego Gdańska, polityczną i prestiżową dla Polski, która — nigdy do tego nie dopuści! — uświadomiła swych czytelników 21 lipca kowieński „XX Amzius”. A następnego dnia, doskonale w Tartu redagowany dziennik estoński „Postimes” pytał pod adresem Francji: „Czy istotnie w interesie wielkiej demokracji francuskiej leży zaprzeczenie niepodległości malych, ale także pragnących tych państw bałtyckich i jak wobec takiej postawy wyglądałby ten stan pokojowy, budowany kosztem niezawisłości państw słabszych, istotnie spragnionych pokoju?”.

W Rydze wykryto organizację komunistyczną. Wydawała tajne zosopismo „Cina” („Walka”). Nakład osiągał... 150 egz, z czego 100 wysłano do Moskwy!

Lipiec 1939 r. dobiegał kresu. Gęstniały czarne chmury. Już tylko wyjątkowo uparci optymiści nie chcieli chmur tych dostrze- gać. Tallin i Ryga jeszcze liczyły na negocjacje, na swoją widoczną słabość... Prezydent Smetona odwoływał z urlopu swego ministra spraw zagranicznych. Trwały narady... Państwa bałtyckie, z wyraźną jeszcze więzią Czecho-Słowacji w oczach, szukały możliwości wydstania się z coraz gwałtowniejszych wirów. Możliwości nie było.



Mapka teatru wojennego na Pacyfiku

OBŁĘD I POLITYKA

(Dokończenie ze str. 5)

szę jest utarczką. Odbywa się ono zresztą w atmosferze nieprawdopodobieństwa i dlatego tak bardzo zbliżone jest do teatru. I tu przecież tak samo nie wolno — wy- paść z roli. To też, wbrew dobru o sobie mniemaniu sędziów śledczych, nie oni są głównymi bohaterami dramatu. To przuciżniwani, choćby najniejdźniej dukali swoje kwestie, d'wiga całą akcję. Nawet jego milczenie nadaje jej ruch, a okrucieństwa na nim dokonywane prze- obrażają bierność — w cierpienie. Wtedy dramatyczność śledztwa osiąga godność tragizmu.

Powoli wracaliśmy do przytomności, więc i do kulis tej sceny, na której przez dwie godziny trwał dialog sędziego ze mną. Siedząc na krześle pod piecem, ponownie zaciekałam się ścianami i sprzątkami. Nie wiem, jak się to stać mogło, dopiero teraz dostrzegam obok biurka skrzynkę, na której leżała rozpostarta gazeta. Zdąleka przeczytałam wielkimi literami drukowa- ny tytuł, którego treść głosiła wojnę między Anglią a Niemcami. Zdaje mi się, że to brzmiało tak: „Anglia ciągle stawia czoło Niemcom”. Wzrok, choćby najbar- dziej wyczerpany, nie mógł jednak na ob- jęcie sprawdzić daty dziennika. A to było ważne. Koniecznie należało skonfron- tować wiadomość z dzisiejszym „telefo- nem”, aby móc znieść do celii nie sensa- cję, ale pociechę, niechby tak nikną, jak piórko ptasie...

Oszadzona na krześle, nie miałam prawa ruszyć się, a każdej chwili mogł powrócić sędzia. Wnioskowałam więc: że gazeta nie pamięta, świeża, że właśnie tak rozłożona, jakby ją ktoś niedawno czytał. Ale nasa- zuwały się też wątpliwości: że może szły tylko jako przykrycie paczkę albo „bibu- lka” do skręcenia papierosów. Jakimże o- późnianiem decyzji jest zbytnia rozwaga! Bo wszystko musiały tam zobaczyć dale. Wzruszenie mnie było już gotowe — do wstania, zrobienia tych trzech kroków, pochylenia się nad gazetą. A jednak nie ruszyłam się, powstrzymywana obawą. Lecz już nie zaskoczenia bałam się, ale samej daty. Dylemat: wiedzieć napewno, albo ju- dziez się jeszcze — zakreślał wahadłem łuki. Były coraz krótsze, coraz szersze.

I wtedy właśnie, gdy już unosiłam się z krzesła, wszedł sędzia. Uznał to za skądinąd, że nawet drzwi nie zaskrzypiały. Przebiegł oczami pokój, ściany. Nie, nie ziego się tu nie stało ani Leninowi, ani

Stalinowi. Wszystko było na swoim miej- scu i gazeta, oczywiście i gazeta tak samo. Sędzia spojrzął uważnie w moje oczy, u- piewniając się, że i we mnie nie zaszły żad- ne zmiany. Był zadowolony z siebie, z zapachu wody kwiatowej, którą się przed chwilą odświeżył, z wyblakłych oczu pod- sadnej, z obicia tapczana, na którym bę- dzie odpoczywał po obiedzie.

Pora była właśnie obiadowa i sędzia znużył się, a może tylko znużył tym wszyst- kim. I wtedy stało się coś, czego się nie spodziewał. Już stojąc na progu, już opar- tą ręką o framugę drzwi biało lakierowa- nych — jak powinno być w małomiej- skim dworku — zapytałam: „Czy wojna jeszcze trwa?” Nie zaraz odpowiedział, więc po- nowiłam: „Czy biją się jeszcze, czy Anglia jeszcze bije się z Niemcami?”

Teraz dopiero czekałam na wyrok, nie dbając o nic więcej. Teraz, zanim akta mojej sprawy pójdą jakimś tam swoim torem — usłyszę właściwy wyrok. Sędzia na moment jakby się stracił. Jego oficer- ska sztywność uległa wzburzeniu. Nawet uczesanie zmierzwiło się, bo jasny kosmyk opadł na różowe czoło. Mocniej też zapach- nięła woda kwiatowa. Powiedział wreszcie: „Wojna będzie tak długo trwała na Świe- cie, dopóki nie zwycięży wszędzie rewolu- cja. Dopóki istnieje jedno państwo ka- pitałistyczne, będzie z nim wojna. A An- glia to więcej niż państwo, to imperium. Rozumiecie?”

Rozumiałam. Wojna trwałą.

Idąc drogą powrotną do więzienia, trwo- nitał to, co było przestąpienia, barwą, nar- ganiem w słońcu. Wyrzekając się tego, niosłam w sobie wiadomość tak ostrożnie, jak palącą się lampę podczas wichru lub przeciągu. Za mną stąpał ciężko żołnierz z karabinem, nawołując gniewnie: „pria- mo!” Może wołał inaczej, bo szłam tak szybko, jakby nie z powrotem do więzienia, pod klucz. W ten czas gorczył i upokorzeń, szukania pociechy w smach i wróżbach, nio- sam uwiecznionym obłąd nadziei.

Kiedy wróciłam do celi, słońce już daw- no zeszło z okien. Krata rysowała się ciem- no na tle błędnego błękitu nieba. Przyja- zne rozmowy i spory wyczerpały niedugi dzień. Płatały się tylko jeszcze jakieś nie- przytomne zdania po Maryjce. Zmierzch- zamywały kontury mapy-zacieku. Więc prawie połamku odszukaliśmy plamkę wyobrażającą Anglię. Dłonie, które jej do- tykały, ziębły od wilgoci...

Herminia Naglerowa

D. I.

Dotychczas bardzo mało jeszcze wiemy o konferencji trzech. Wydany komunikat oficjalny nie mówi oczywiście o wszystkim. Dotychczas też główni uczestnicy zjazdu nie wypowiedzieli się publicznie. Premier Churchill przybył do Londynu, gdzie powitano go owacyjnie w Izbie Gmin, jak stwierdza komunikaty Reutersa. Wygości on wielkie przemówienie o sytuacji międzynarodowej w przyszłym tygodniu. Już dziś jednak wyraził pogląd optymistyczny na obecną sytuację. Stwierdził, że stosunki międzynarodowe „raczej się odprężają”. Izba nie będzie mu robiła większych trudności. W Anglii przeważa nastroj zadowolenia z wyników konferencji. Głównie jej cele: utrzymanie Rosji w koalicji i walka z Niemcami aż do ostatecznego ich pokonania zostały osiągnięte. Polityka brytyjska uratowała również to, co w danej chwili uważa za najważniejsze, a więc utrwalenie swoich wpływów w Grecji oraz wycofanie się z Rosji z forsowania meksykańskiego Komitetu Wolnych Niemców, jako ośrodka, z którego ma się wytonić przyszły prorosyjski rząd niemiecki. To były sprawy najważniejsze. Los Polski nie przedstawia się dla oficjalnych sfer angielskich zbyt tragicznie. Uważają one, że jeżeli pp. Mikołajczyk, Grabski, Kot i Romer zgodzą się wyjechać do Moskwy na podstawie uchwał komitetu trzech, pozory uzyskania „zгоды Polaków” zostaną zachowane. Mimo to opinia brytyjska nieoficjalnie wysuwa już różne zastrzeżenia do uchwał trzech w sprawach Polski. Po pierwszym okresie bezkrytycznego ceniuzajmów głosu niezadowolenia wzrosły poważnie. Prawdopodobnie rozprawa w Izbie Gmin da pole do wystąpienia nawet opozycyjnych w stosunku do postanowień krymskich.

Mimo to nie należy oczekiwać, by zastrzeżenia te, wątpliwości, a nawet głosy opozycyjne, wynikające ze świadomości, że w stosunku do rządu polskiego, którego nie pytano o zdanie, jak i do Polaków, zawsze lojalnych sprzymierzeńców, nie posłapano właściwie, mogły zasadniczo zmienić powzięte przez politykę brytyjską decyzje. Czytelników odsyłamy tu do artykułu p. Bardomiejca Gomuly, umieszczonego w niniejszym numerze na str. 8-iej na temat polityki „appasementu” i metod postępowania angielskiego.

Słowa o prawdzie i honorze

Przed powrotem do Londynu premier Churchill wygłosił przemówienie, które zawierało następujący ustęp:

„Przemawiając jako Anglik, wyrażam dumę z udziału, jaki armia brytyjska odegrała, broniąc tego wielkiego i nieśmiertelnego miasta przed gwałtem i anarchią. Nasze dwa narody kroczyły od dawną chmurzyną drogami obowiązków, zjednoczone w przyjaźni i lojalności. Wolność, dobrobyt i szczęście waszego kraju są drogą wszystkim narodom Brytyjskiej Wspólnoty oraz Imperium. My, którzy związaliśmy się z wami w każdej walce o wolność waszego kraju, będziemy kroczyli obok was aż dojdziemy do kresu ciemnego wąwozu, w którym znajdujemy się, i wyjdziemy na rozległe wyżyny sprawiedliwości i pokój. Niechaj nikt nie słabnie w swych obowiązkach wobec swego kraju! Niechaj nikt nie zbacza z drogi prawdy i honoru! Niechaj nikt nie usiłuje utracić sposobności, które stwarza ta wspaniała chwila i te wspaniałe dni! Niechaj sprawa waszego narodu zajmuje pierwsze miejsce w sercach każdego mężczyzny i każdej kobiety! Niechaj przyszłość waszego kraju znajduje odbysk w waszych oczach! Z głębi mego serca żyć wam szczęścia. Z głębi mego serca wyrażam nadzieję, że kraj wasz zajmie należne mu miejsce w gronie zwyciężczych narodów”.

Przemówienie to było wygłoszone nie do narodu polskiego, ale greckiego, i nie w Warszawie, ale w Atenach. Było ono wyrazem radości, że w wyniku ostatnich rozgrywek nie tylko dyplomatycznych, ale i wojennych udało się utrzymać Grecję w zasięgu wpływów brytyjskich.

Polska za Niemcy?

Trudno jeszcze zorientować się, na czym polegał kompromis krymski i czy istotnie żądano tam Polski za Grecję. Z różnych wyrzuceń można było wnioskować, że w tym przetargu równoważnikiem Grecji była nie Polska ale Rumunia. „Il Giornale del Mattino” wskazuje pośrednio na inną możliwość. W korespondencji z Waszyngtonu stwierdza on, że „jednym z najważniejszych wyników nie-

P. I. PIERWSZE REAKCJE

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

dawnej konferencji trzech w Jałcie — czego dotychczas nie umiano w pełni zauważyć — była zmiana stanowiska Stalina w sprawie rozbrojenia Niemiec... Kładąc swój podpis pod uchwały w sprawach niemieckich marsz. Stalin stwierdził raz na zawsze, że nie będzie się zajmował dwoma swymi twórami, a więc Komitetem Wolnych Niemiec i Związkiem Oficerów Niemieckich w Rosji”.

Informacje te oparte zostały na głosie lewicowego pisma nowojorskiego „P. M.”. Pismo to przypomniałoby oświadczenie zarówno moskiewskiego Komitetu Wolnych Niemiec jak i Związku Oficerów Niemieckich, który powstał w Rosji pod protektorem marsz. von Paulusa zacytowało oświadczenie Stalina z 6 listopada 1942 r., w którym ten oznajmił, że Rosja „nie ma najmniejszego zamiaru niszczyć całkowicie potencjału wojskowego Niemiec, gdyż to nie byłoby niemożliwe i byłoby błędem z punktu widzenia przyszłości”.

„Fakty te, pisał „P. M.”, wywołały w swoim czasie żywy niepokój w kręgach rządowych dwóch mocarstw angielskich, które nie wiedziały, jak rozumieć te posunięcia i nie mogły też ustalić do jakiego punktu rząd sowiecki jest zdecydowany posługiwać się Komitetem Wolnych Niemiec jako zakładnikiem powojennego rządu w Niemczech z wyraźną przewagą komunistyczną”.

„P. M.” twierdzi, że po uchwałach w Jałcie „zarówno Komitet Wolnych Niemiec jak i Związek Oficerów Niemieckich, mogą być uważane za nieboszczyków pochowanych na zawsze”. Wydaje się, że pismo nowojorskie wyraża poglądy zbyt optymistyczne, albowiem nawet na łamach „The Stars and Stripes” ukazała się niedawno notatka, z której wynikało, że Komitet Wolnych Niemiec w Rosji skupił już przy sobie milion jeńców niemieckich.

Choćby informacja ta, oparta na oświadczeniu B. niemieckiego posła do parlamentu w Berlinie Maksxa Seydewitza, była przesadzona, faktem pozostaje, że jeńcy niemiecy w Rosji odpowiednio zorganizowani będą mogli po powrocie do Rzeszy stać się podporą dla „spółnaziemczy” i „demokratycznego” ruchu, który doprowadzi do utworzenia rządu o prosowietnickim zabarwieniu. Stanie się to niezależnie od uchwał konferencji trzech. Znany sposóbami.

Uchwały krymskie potępiają co prawda hitlerzyzm, ale i militarystyczny pruskim, natomiast ani słowem nie wspominają o Komitecie Wolnych Niemiec, jak i o utworzeniu nowego rządu niemieckiego. Uchwały nie wspominają również o rządzie polskim w Londynie. Oba przemilczenia nie są chyba przypadkowe. Oba prawdopodobnie wiążą się z sobą. Konstrukcja nowej Europy opartej na strefach wpływów opiera się przecież na wzajemności. A więc Polskę za Niemcy? A w przyszłości może Niemcy za Francję i tak dalej...

Odmowa gen. de Gaulle

Podróż powrotna prezydenta Roosevelta do Ameryki była dosyć uroczona. Najpierw ujawniono, że grupa dziennikarzy amerykańskich została nagłe wezwana przez p. Roosevelta, by przybyła natychmiast z Waszyngtonu na konferencję z prezydentem przebywającym „gdzieś na morzach”. Korespondenci udali się samolotami. Na tajemniczą naradę zostali zaproszeni wyłącznie Amerykanie, co dało powód do nowych kwasów brytyjsko-amerykańskich i co znowu podnieciło wojnę prasową brytyjsko-amerykańską prowadzoną na tle wzajemnych rywalizacji dziennikarsko-agencyjnych, ujawniania niedostępcy itd. Nikt nie wie dotychczas, co prezydent powiedział dziennikarzom. Wydaje się jednak, że chodziło mu o odpowiednie przygotowanie opinii wobec krytycznych głosów, które odezwały się w Ameryce po „uchwałach trzech” przede wszystkim na tle sprawy polskiej.

Następnie ujawniono, że prezydent Roosevelt przybył do Algieru, gdzie zaprosił na konferencję gen. de Gaulle celem omówienia „wyników konferencji trzech”. Tu nastąpiła bomba. Gen. de Gaulle odmówił stawienia się na naradę. Nie wiemy dokładnie, co go skłoniło do tak drasty-

cznego postawienia sprawy. Z wiadomości, które przelikały z Francji, wynikałoby, że gen. de Gaulle oczekiwał wizyty prezydenta Roosevelta w Paryżu bądź gdzieś we Francji samej, natomiast nie uważał za wskazane przyjmować od niego zaproszenia na przyjazd do jednego z kolonialnych miast francuskich. Uwaga, że Algier od przeszło 100 lat należy do Francji i że gospodarzem w Algierze jest rząd francuski, była dość znamienita, ale nie tłumaczy ona wszystkiego. Trudno przypuścić, by względy wyłącznie protokolarnie i etykietyne oraz drażliwość osobiste były rozstrzygające dla podejmowania decyzji w tak ciężkich i poważnych czasach.

Decyzja gen. de Gaulle musiała wypływać z bardziej doniosłych podtekstów. Minister spraw zagranicznych Francji p. Bidault oświadczył, że „gen. de Gaulle wierny swej polityce nie widział możliwości przyjęcia zaproszenia”. Ale istnieją również wyjaśnienia bardziej otwarte.

Korespondent Reutersa w Paryżu Karol King oznajmił, że rząd francuski interesuje się nie tylko sprawą wyznaczenia francuskich stref okupacyjnych w Niemczech, ale ogólną polityką aliantów w stosunku do Europy. Pragnie więc by wyjaśniono dokładnie, na czym ma polegać „interwencja sojuszników” w Europie. Francja jest inianowicie przeciwna bezpośredniemu interwencji aliantów. A ponadto, jak donosi Reuter, rząd francuski dopytywał się, czy „system stabilizacji politycznej i gospodarczej narodów wyzwolonych w oparciu o zasady demokratyczne” rozciąga się również na Polskę i czy pomoc aliantów dla Polski ma być określana przez organ odrębny, np. przez komitet moskiewski; utworzony przez ministra spraw zagranicznych Molotowa oraz ambasadorów brytyjskiego i amerykańskiego w Moskwie.

Wynikałoby z tego, że Francja gotowa jest uznawać ogólną kontrolę czy pomoc wielkich mocarstw dla narodów europejskich, ale kontrolę rozłożoną w sposób równomierny bez dziczenia Europy na przeciwstawne strefy wpływów, dające mocarstwom, do którego dana strefa należy, prawo do bezpośredniej interwencji. Wpływna na skład rządu, z aktywną bazą wojskową i, niedopuszczania do rozwoju przemysłu itd.

Francja nie chce być tylko pionkiem w brytyjskiej czy amerykańskiej strefie wpływów. Nie chce, by poszczególne jej kolonie uważane były za bazy strategiczne wielkich mocarstw. Stąd drażliwość gen. de Gaulle w związku z zaproszeniem do Algieru. Ale stąd również jego zainteresowanie się Polską, gdyż niewątpliwie stan jaki ustalił się w Polsce będzie przedczył się później upoważniał albo nawet zmuszał do podobnego traktowania Francji. Jeżeli więc powstaną sowiewkie bazy wojskowe w Polsce, podobnych baz zaokreśli kto inny dla siebie we Francji. Reakcje Polski i Francji na uchwały konferencji trzech, aczkolwiek nieidentyczne, są dowodem, że wszystkie narody europejskie są zainteresowane w usunięciu w wszystkich stref wpływów i w równomiernym traktowaniu swych interesów oraz swych pozycji politycznych.

Czy stanowisko Francji będzie miało dalsze następstwa? Wywarło ono naradę duże wrażenie jako głos ciężko dotkniętej Europy. „Italia Nuova” notuje w depeszy z Waszyngtonu, że w tamtejszych kręgach dyplomatycznych rozważana jest możliwość zrezygnowania nawet przez rząd francuski z udziału w konferencji narodów zjednoczonych, która odbyć się ma w dniu 25 kwietnia w San Francisco. Głosy prasy amerykańskiej zbliżone do Bięłego Domu są dość ciepłe, aczkolwiek powściągliwe. Oznajmiono w Ameryce, że prezydent Roosevelt wobec odmowy gen. de Gaulle musiałby omówić sprawę dotyczące Francji z ambasadorami Stanów Zjednoczonych w Paryżu i w Rzymie. Zdale się, że dyplomacja angielska będzie usiłowała załatwić jakoś zatarg. Posiada on jednak nie tylko formalne znaczenie.

Reakcja Ameryki

Reakcja oficjalnych czynników amerykańskich na konferencję trzech wyraziła się w nowej ofensywie na Japonię, wy-

ładowaniu wojsk amerykańskich na wyspie Iwo Dżima, (1200 km. na południe od Tokio) oraz w bombardowaniu samej stolicy i miejscowości japońskich w metropolii. Drugim wnioskiem było wyzwanie skierowane przez p. Byrnasa, dyrektora amerykańskiego urzędu dla spraw mobilizacyjnych, do przyspieszenia uchwałenia przez parlament ustawy wprowadzającej w Ameryce przymus pracy dla zmózenia wysiłku wojennego.

Dwie te reakcje są wysoce znamienne. Pierwsza świadczy, że Ameryka zdecydowana jest rozegrać w razie potrzeby samą wojnę z Japonią, nie oglądając się na swych partnerów, a zwłaszcza na Rosję. „The Stars and Stripes” donosi z Waszyngtonu zupełnie wyraźnie, że „amerykańskie nadzieje na szybkie przystąpienie Rosji do wojny przeciwko Japonii, zostały osłabione stwierdzeniem Bięłego Domu, że sprawa ta nie była poruszana na konferencji krymskiej”. Jednocześnie oznajmiono, że prezydent Roosevelt, który przed konferencją w Jałcie spotkał się z premerem Churchilllem na Malcie, odbył z szefem rząd brytyjskiego drugą wspólną konferencję po zjeździe trzech w Aleksandrii. Na naradzie tej omawiano sprawę prowadzenia wojny z Japonią, przy czym Churchill raz jeszcze zapewnił, że po ukończeniu wojny z Niemcami Wielka Brytania rzuci „wszystko co posiada” przeciwko Japonii. Oficjalny komunikat zaznaczał, że „na Pacyfiku Rosja Sowiecka jest krajem neutralnym”.

Czyżby to znaczyło, że sprawa pozycji Rosji na Dalekim Wschodzie i w Azji nie była w Jałcie omawiana? Stwierdziliśmy już na tym miejscu, że Rosja nie może dopuścić, by w wyniku pokonania Japonii wzrosła na Pacyfiku i Azji jedynie wpływo anglo-amerykańskie. Rosja musi żądać dla siebie kompensat drogą dyplomatyczną lub inną. Londyński „Observer” potwierdza to przypuszczenie pisząc, że „wśród wielkich mocarstw sprzymierzeńczych odbywały się rozmowy na temat roli Rosji na Dalekim Wschodzie po pokonaniu Japonii”. Pismo zaznaczało, że rozmowy te są już daleko posunięte i że Stany Zjednoczone, a prawdopodobnie również Wielka Brytania „uznały za słuszne interesy Rosji Sowieckiej na terytoriach graniczących z jej obszarami na Dalekim Wschodzie”. „Observer” zaznaczał jednak, że „nie należy oczekiwać żadnych sensacyjnych zmian w stosunkach rosyjsko-japońskich”. Czy Rosja przystąpi lub nie do wojny z Japonią, to należy do sfery domniemań. Natomiast jest możliwe, że „osiągnięte porozumienie co do przyszłości krajów obecnie okupowanych przez Japonię, a graniczących z Rosją na Dalekim Wschodzie. Porozumienie to wszakże niekoniecznie jest uwarunkowane przystąpieniem Rosji do wojny z Japonią”.

Agencja Reutersa donosiła, że swej strony, że Rosja Sowiecka pośrednio przyczyniła się do sukcesów na Dalekim Wschodzie, wiążąc na granicy rosyjsko-japońskiej 24 dywizje piechoty, 3 brygady zmotoryzowane i 17 brygad pancernych japońskich. Za to, zdaniem Reutersa, należy się jej nagroda. W pokojowym ułożeniu stosunków na Dalekim Wschodzie Rosja będzie miała zapewniony udział. Wynika z tego, że dzięki swej polityce Rosja będzie wojny wzmocniła swą sytuację na Dalekim Wschodzie, prawdopodobnie w Chinach, ale to tym bardziej zmusi Stany Zjednoczone do szukania rozstrzygnięcia wojny z Japonią na własną rękę.

Wezwanie p. Byrnasa, który jako uczestnik konferencji trzech przybył pierwszy z Jałty do Waszyngtonu i rozpoczął wielką akcję na rzecz natychmiastowego uchwalenia ustawy o przynusie pracy w Ameryce, było wymownym dowodem, że zjazd w Jałcie nie zbliża nas do końca wojny i że dalsze ogromne wysiłki wojenne i dalsze powiększanie się przewidywane. P. Byrnasa oświadczył m. in.: „W marcu więcej niż kiedykolwiek ludzi będzie w walce. Muszą oni mieć pod ręką tylą amunicję, ile będą potrzebować, bez obawy, że zabraknie jej w magazynach”. W kilka dni potem amerykański minister wojny Stimson powiadał w związku z tą sprawą: „Doziliśmy do okresu krytycznego w tej wojnie i nie możemy go przeliczać i odkładać, gdyż to musiałoby przełożyć wojnę i kosztować wiele istnień amerykańskich”. Stimson uszakwał na „powagę sytuacji” i na konieczność zarządzenia brakowi broni i braku sił ludzkich.

(Dokończona na str. 11)

Podajemy oświadczenie rządu R.P. którego nie mogliśmy zamieścić w numerze poprzednim:

„12 lutego o godz. 7 min. 30 wieczorem brytyjskie ministerstwo spraw zagranicznych wręczyło polskiemu ambasadorowi w Londynie tekst rezolucji, dotyczącej Polski, przyjętych przez Roosevelta, Churchilla i Stalina na konferencji w Jaltie pomiędzy 4 i 11 lutym.

„Przed rozpoczęciem konferencji rząd polski wręczył rządowi W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych memorandum, w którym wyraził nadzieję, że rządy te nie podejmą żadnej decyzji, odnośnie sprzeczniejszego państwa polskiego bez poprzedniej konsultacji i bez zgody rządu polskiego. Równocześnie rząd polski oświadczył, że pragnie znaleźć wyjście w sporze rozpoczętym przez Rosję Sowiecką na drodze normalnej procedury w sprawach międzynarodowych i przy należytym poszanowaniu praw obu zainteresowanych stron.

„Pomimo to, decyzje konferencji trzech mocarstw zostały przygotowane i wzięte nie tylko bez udziału i zgody rządu polskiego, ale nawet bez jego wiedzy.

„Metoda zastosowana w sprawie polskiej jest zaprzeczeniem elementarnych zasad wiążących sojuszników pomiędzy sobą i stanowi pogwałcenia litery i ducha Karty Atlantyckiej i prawa każdego narodu do obrony swych własnych interesów.

„Rząd polski oświadcza, że decyzje konferencji trzech mocarstw odnośnie Polski nie mogą być uznane przez rząd polski; nie mogą wiązać narodu polskiego.

„Rząd polski będzie uważał odłączenie wschodniej połowy terytorium Polski przez narzucenie granicy polsko-sowieckiej wzdłuż t.zw. Linii Curzona za 5-ty rozbiór Polski, dokonany obecnie przez sojuszników.

Zamiar trzech mocarstw utworzenia „Tymczasowego Polskiego Rządu Jedności Narodowej” przez rozszerzenie naznaczonego przez obcych Komitetu Lubelskiego i włączenie do tak rozszerzonego rządu osób określonych ogólnikowo jako „demokratycznych przewodców z samej Polski i Polaków z zagranicy”, może jedynie legalizować sowiecką interwencję w wewnętrznych sprawach Polskich.

„Dopóki terytorium polskie będzie pozostawało pod wyłączną okupacją wojsk sowieckich, rząd tego rodzaju nie zabezpieczy, nawet przy obecności amerykańskich i brytyjskich przedstawicieli dyplomatycznych, narodowi polskiemu nieskrępowanego prawa wyrażenia swego woli.

„Rząd polski, który jest jedynym legalnym i powszechnie uznanym rządem polskim, który przez 5 i pół roku kierował walką państwa polskiego i narodu przeciwko krajom „osi”, zarówno przez ruch podziemny w Kraju, jak i przez polskie siły zbrojne na wszystkich teatrach wojny, wyraził swą gotowość — w memorandum przedłożonym rządowi W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych — współpracować w utworzeniu w Polsce rządu prawdziwie reprezentującego wolę narodu polskiego. Rząd polski podtrzymuje tę swoją ofertę”.

Stanowisko p. Kota

Angielski „Observer” z 18 lutego przynosi następujący wywiad z prof. Kotem:

„Oświadczenie Kota było pierwszym aurytatywnym komentarzem ze strony tych kół polskich, które są gotowe do rozmów na temat porozumienia. Brzmiało ono: „Decyzje krymskie w sprawie Polski mogą się stać punktem wyjściowym dla nowego porozumienia w Polsce pod warunkiem, że będą one uczciwie i lojalnie wykonywane i położą kres polityce faktów dokonanych”.

Poglądy p. Kota można uznać za oświetlające postawę partii Mikołajczyka.

Prof. Kot oświadczył m. in.: „Według mnie trzy punkty w decyzjach krymskich nie znajdują usprawiedliwienia. Wielką trójką oświadczyła, że nowy rząd polski powinien być utworzony w Polsce. Przewodcy sprzymierzonych postąpiły szlachetnie, gdyby nie były propozycje utworzenia nowego rządu ze statutem administracji lubelskiej.

„Decyzja w sprawie linii Curzona, która może być interpretowana w ten sposób, że oddaje ostatecznie Lwów Rosji jest ciężkim ciosem dla każdego Polaka. Lecz podczas gdy sprzymierzeni zgodzili się na o-

DOKUMENTY

stateczne ustalenie polskich granic na wschodzie uznali równocześnie za stosowne odłożyć nakreślenie granic zachodnich do konferencji pokojowej.

„Nie pytano Polaków, czy zgadzają się na nową granicę z Rosją; lecz, gdy chodziło o określenie granic Polski z Niemcami, całą odpowiedzialność przesunięto na przyszły tymczasowy rząd polski.

„Istnieje wyraźna sprzeczność w traktowaniu obu tych spraw terytorialnych przez wielką trójkę, która nie może nie wywołać uczucia goryczy w narodzie polskim”.

„Pomimo tego wszystkiego uważam, że odpowiedzialni przewodcy polscy powinni próbować wprowadzić decyzje krymskie w życie w ten sposób, by zabezpieczyć one przyszłość Polski, ochroniły jej niepodległość.

„Czy ustawienia tego rodzaju z naszej strony zostaną uwiecznione powodzeniem, zależy przede wszystkim od interpretacji, którą wielka trójka nada decyzjom krymskim, a szczególnie zależy to od nowoutworzonej komisji polskiej.

„Decyzje krymskie dają podstawę (!) do rozwiązania naszego zagadnienia, lecz nie jest to jeszcze jasno określone rozwiązanie. Centrum ciężkości w polityce polskiej przesunęło się z grup znajdujących się na wygnaniu do ruchów politycznych w Polsce. Grupy polityczne emigracyjne mogłyby być pomocne w negocjacjach.

Mogłyby one wnieść cenne polityczne doświadczenie do nowego tymczasowego rządu. Lecz decydujący głos powinien być oddany obecnie przewodcom polskim, którzy noszą na sobie piętno walki; podziemnej, czy to p. Kot pozbawił wtedy piętna premiera Arciszewskiego? — przyp. red.) Wysoce nieracjonalne warunki, które nadal istnieją w Polsce charakteryzują fakt, że od czasu wypedzenia Niemców partie polskie nie były dotąd w stanie ujawnić się i wypowiedzieć się. A właśnie autentyczni przewodcy polskiego podziemia powinni pierwsi być zaproszeni do stołu konferencyjnego i zapytani czy są w stanie przyjąć decyzje Jalty.

„Postawa osobistości politycznych w grupach znajdujących się na wygnaniu

będzie określona przede wszystkim przez postawę przewodców podziemia.

„Komisja aliancka w Polsce może z łatwością ustalić, kto jest autentycznym przewodcą. Muszę powiedzieć, że doświadczenie z lubelską administracją jak dotychczas nie stworzyło psychologicznych warunków koniecznych dla rzetelnego porozumienia. Jeżeli administracja lubelska rzeczywiście zamierza wnieść swój skromny wkład w realizację decyzji krymskiej powinna ona co najmniej natychmiast wypuścić więźniów politycznych i dać wolność słowa, propagandy i organizacji partiom demokratycznym. Jak dotychczas żadna z partii, znajdujących się w opozycji do Lublina, nie była w stanie opublikowania chociażby jednego czasopisma w Polsce. Ten stan rzeczy musi się skończyć.

„Pozwólcie naszym przewodcom w Polsce mówić otwarcie do swych zwolenników i przeciwników. Ostatecznie widoki na utworzenie prawdziwie reprezentatywnego i niezależnego rządu tymczasowego w Polsce będą zależały od tego, jak szeroka będzie reorganizacja administracji w Polsce. Jeżeli przez nią rozumie się tylko dodanie kilku „demokratycznych apendyksów” do administracji lubelskiej, to widoków nie są zachęcające. Jeżeli jednak reorganizację pojmuję się w ten sposób, że da ona wielkim politycznym partiom należnym udział w rządzie, a zmniejszy udział grupy lubelskiej do granic usprawiedliwionych przez jej udział w polskim życiu politycznym, to będziemy mieli wszelkie powody do żywienia nadziei, że utworzenie nowego rządu tymczasowego otworzy naprawdę nowy (!) i bardziej obiecujący (!) rozdział w historii Polski i stosunków polsko-rosyjskich. (!) „Jestem przekonany, że wszyscy odpowiedzialni (!) polscy politycy uczynią wszystko co w ich mocy, by rozwinąć te możliwości prawdziwego porozumienia jakie istnieją w tej chwili. Czy ich ustawiana zostaną uwiecznione powodzeniem zależy od stopnia dobrej woli, która okaże rząd rosyjski w przeprowadzeniu decyzji krymskich”.

„Times” kusi

„Times” w artykule dyplomatycznego korespondenta z 17 lutego p. t. „Polska na kolejnym etapie” pisze:

PIERWSZE REAKCJE

(Dokończenie ze str. 10)

Stwierdził on, że Wielka Brytania, Rosja oraz państwa wrogie wprowadziły już u siebie przymus pracy i jedynie Stany Zjednoczone uchylały się od tego. Ustawa amerykańska opiera się na klasycznych wzorach gospodarki wojennej, a m. in. na dwóch założeniach, że każdy kto nie walczy i nie jest zmobilizowany musi pracować na potrzeby wojny i że nikomu nie wolno opuszczać warsztatu pracy, do którego został przydzielony.

Wynika z tego, że Stany Zjednoczone nie spodziewają się rychłego pokoju i że, przeciwnie, liczą się ze wzmocnieniem wysiłku wojennego, mimo że kończy się wojna z Rzeszą. Takie wnioski z konferencji na Krymie wysnuł jej uczestnik.

Wojna ideologiczna

W czasie, kiedy według oświadczeń premiera brytyjskiego wojna stała się „mniej ideologiczną”, Rosja sowiecka rozpoczęła — w związku z konferencją w Jaltie — wyraźną walkę ideologiczną przeciwko Watykanowi. Na lamach „Osservatore Romano” ukazały się znnowe sprostowania szeregu wystąpień antywatykańskich Moskwy. Jedno dotyczyło twierdzenia, jakoby Watykan był niezadowolony z konferencji trzech i z niezaproszenia go na zjazd w Jaltę, inne mówiły o rzekomych staraniach Stolicy Apostolskiej, by rząd włoski wysłał ambasadora do Hiszpanii. W ciągu tygodnia, jak obliczają „The Stars and Stripes”, „Osservatore Romano” prostowało trzy kłamstwa propagandy sowieckiej. Mamy zatem do czynienia z kampanią wyraźnie przez Moskwę zarysowaną i zmierzającą do określonego celu. Jednym z czynników tej akcji stała się ostatnio cerkiew moskiewska, podporządkowana, jak wiadomo, ściśle rządo-

wi sowieckiemu. Choć w Rosji działalność jej sprowadza się do manifestowania pewnych pozorów religijnych, zaczyna ona rozwijać szeroko zakrojoną akcję na zewnątrz. Ostatnio cerkiew moskiewska wystąpiła z oszczerczą kampanią zarzucając Watykanowi sprzyjanie... Hitlerowi.

Nie tylko zresztą Rosja jest zadowolona z konferencji trzech. Podobne stanowisko zajmują Niemcy. Przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy oświadczył dotownie: „Komunikat wydany w Jaltie i wyniki odbytej tam konferencji musimy uznać za doskonałe z niemieckiego punktu widzenia. Pomogą one bowiem przewodcom narodu niemieckiego do utrzymania i wzmocnienia morale i woli walki w Rzeszy. Konferencja krymska oznacza triumf Stalina, przeforsował bowiem wszystkie zasadnicze punkty swego programu”.

Oświadczenie to potwierdza wyrażony swego czasu na tym niemiecku pogląd nasz na taktykę niemiecką. Niemcy chcieli, by Stalin był na konferencji trzech partnerem najbliższym, by przybył tam z największymi sukcesami militarnymi i by wskutek tego sytuacja została doprowadzona do absurdu. Oczywiście potraktowanie przez konferencję trzech Polski, pierwszego alianta w tej wojnie i w którego obronie rozpoczęła się trwająca dotychczas gigantyczna walka, sprawila Niemcom radość szczególną. Dość znamienity jest fakt, że natychmiast po konferencji wzrosł opór niemiecki na froncie, parcie sowieckie zostało nieco powstrzymane, a nawet tu i owdzie przystąpił Niemcy do przeciwdziałania... Dalsze posuwanie się wojsk sowieckich nie jest już potrzebne dla względów politycznych. Można próbować je hamować. D. I.

„...W niektórych kołach wyraża się nadzieję, że w każdym razie można będzie zaaranżować konferencję okrągłego stołu dla uzyskania możliwości zbliżenia w politycznej współpracy. Arciszewskiego „ni-gdy” rzuczone w imieniu rządu polskiego w Londynie nie może być uważane za ostatnie słowo Polaków poza granicami ich kraju. W związku z tym najbardziej interesującą jest postawa Mikołajczyka, b. premiera i wybitnego przewodcy Stronnictwa Ludowego. W ostatnim numerze swego pisma „Jutro Polski” daje on wyraz swym poglądom na temat decyzji krymskiej. Przyjmuje on deklarację „silnej, niepodległej i demokratycznej Polski”, jeżeli będzie jej towarzyszyć całkowita dobra wola i zdecydowanie wprowadzenia jej w życie.

„Następna pozytywną stroną decyzji jest to, że okazuje się, iż Rosja „ustanowiwszy i uznawszy tzw. tymczasowy rząd” nie powiedziała swego ostatniego słowa. Również w tym względzie wypadki najbliższej przyszłości okażą o ile można będzie powiedzieć, czy reżym ustanowiony w Polsce do czasu wyborów będzie opierał się na rządzie złożonym ze wszystkich demokratycznych partii czy wyłącznie na komunistach. Mikołajczyk ocenia rezultaty konferencji krymskiej jako „rzeczywiście złe” dla Polski.

„Określenie granic Polski na wschodzie — pisze Mikołajczyk — przez wielką trójkę jak i przyjęciem linii Curzona bez Lwowa i galicyjskich pól naftowych to porażka dla nas, lecz przesądzenie granic wschodnich bez ostatecznego określenia granic wschodnich i bez dopuszczenia Polski do udziału w okupacji Niemiec, to klęska”.

Mikołajczyk mówi dalej, że okrojenie Polski na wschodzie bez określenia jej granic na zachodzie i północny będzie odcięcie przez naród polski jako niezastąpienie niesprawiedliwości zarówno z faktycznego jak i psychologicznego punktu widzenia. Tego rodzaju uczucia muszą powstać nawet jeżeli uznamy, że niektóre koła polskie w Londynie są częściowo odpowiedzialne (?) za naszą nieobecność w momencie, gdy decyzje były pobierane z powodu ich skłódlivej polityki wyuczkiwania”.

„Rozsadne oświadczenie Mikołajczyka jest rzeczą ważną w obecnym stanie chociaż nie powziął on jeszcze żadnej decyzji, lecz jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by odmówił on przyjęciu zaproszenia na konferencję moskiewską, opartą na procedurze nakreślonej na konferencji krymskiej...”

Głos ma sekretarz p. Mikołajczyka
„Times” w n-rze z 16 lutego ogłasza następujący list Józefa Żaraskiego, sekretarza prywatnego p. Mikołajczyka.

„11 lutego o godz. 5 po poł. po zakończeniu obrad konferencji krymskiej, a przed ogłoszeniem oświadczenia o wyniku konferencji, radio kijowskie nadało wyjątki z listu „prezydenta” Warszawy płk. Spychalskiego do Chruszcowa, przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Ukrainy, w którym mówi się:

„Zdrzący — Sosnkowski, Rakckiewicz, Arciszewski, Mikołajczyk i kapitulant Komorowski otrzymują należyłą karę, na którą zasłużyli”.

„Spychalski oświadcza: „Rozprawimy się z nimi tak, jak wy rozprawiliście się z ukraińskimi nacjonalistycznymi, hitlerowskimi najemnikami”.

Czy ta audycja radiowa jest zaproszeniem do wzięcia udziału w przyszłym rządzie dla Polaków z poza Polski?

Odpowiedź premiera rządu R. P.
Daily Mail z 16.II. podał w następującym brzmieniu oświadczenie premiera Arciszewskiego:

„Jeżeli ktośkolwiek pojedzie do Londynu do Polski, z myślą, że jedzie tam, by pomagać polskiemu narodowi, nie zniemi to postawę rządu polskiego. Ktośkolwiek pojedzie do Warszawy nie będzie mógł działać swobodnie. Będzie pod terrorem i groźbą aresztowania w każdej chwili”.

„Gdy Arciszewskiego zapytano, czy rząd polski będzie uważał Mikołajczyka za zdradę, jeżeli pojedzie on do Warszawy i wejdzie w skład nowego rządu i jakie kroki w takim wypadku przedsięwziąłby rząd polski, premier polski odpowiedział:

„Rząd mój nie będzie w stanie przedsięwziąć żadnych kroków lecz jestem pewny, że ktośkolwiek by to był, stracił zaufanie polskiego narodu i tę popularność, jaką się cieszył dotychczas”.

